Nr. 12 (449). Cena 1 zł. W Czechosłowacji 3·50 Kc. 18 marca 1933. Nal. poczt. opł. gotówką. Numer zawiera 24 stron. Rok X

ŚWIATOWID

IMIENINY MARSZAŁKA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO.



Dzień Imienin Marszałka Józefa Piłsudskiego będzie obchodzony w całym kraju. Kulminacyjnym punktem uroczystości warszawskich będzie rewja wojskowa i hołd w Belwederze. Na zdjęciu Marszałek Piłsudski, siedzący na fotelu przed swojem biurkiem w Belwederze.

Zdjęcie wykonane specjalnie dla „Światowida".

ECHA TYGODNIA.



Z ŻYCIA POCZTOWCÓW W SANOKU. Ruchliwy Związek Przysposobienia Wojskowego i Wychowania Fizycznego Pocztowców w Sanoku, rozwija żywą działalność na polu propagowania narciarstwa. Na zdjęciu członkowie Sekcji narciarskiej Pocztowców w Sanoku. *J. Puretz — Sanok.*



STRAJK W ŁODZI. W Łodzi zastrajkowało około 50.000 robotników tkackich, aby zaprotestować przeciwko obniżce zarobku, projektowanej przez pracodawców. Spokoju nigdzie nie zakłócono. Na zdjęciu robotnicy, spieszący na wiec.



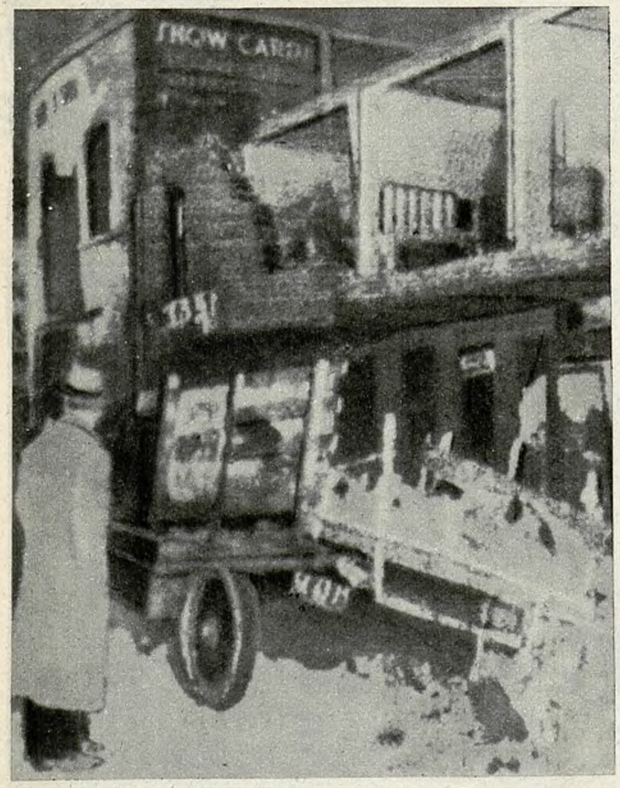
DOROCZNY ZJAZD DOWBORCZYKÓW. 12 b. m. odbył się w Warszawie zjazd Dowborczyków. Na zdjęciu gen. Dowbor-Muśnicki, przemawiający pod pomnikiem Dowborczyków na Wybrzeżu Kościuszkowskiem (pierwszy po lewej).



POCIĄG NARTY-BRIDŻ DO BIAŁOWIEŻY. Dnia 5 bm. wyruszył z Warszawy do Białowieży pociąg z narciarzami. Po przybyciu na stację końcową, pasażerowie pociągu przesiedli się na sanie i odbyli niezapomnianą wycieczkę do serca Puszczy, stanowiącej największy rezerwat leśny w Europie.



RERI GOŚCIEM WARSZAWY. Słynna paryska tancerka Reri, bohaterka filmu „Tabu“ przybyła do Warszawy, witana owacyjnie przez liczne grono wielbicieli jej urody i talentu. Piękną Reri obdarzono kwiatami (na zdjęciu).



TRZĘSIENIE ZIEMI W KALIFORNJI. Południowa Kalifornja została nawiedzona trzęsieniem ziemi, którego ofiarą padło przedewszystkiem miasto Hollywood, stanowiące centrum przemysłu filmowego Ameryki oraz Long Beach, znana miejscowość kąpielowa. Blisko 150 ludzi jest zabitych, a 3.000 ranionych. Na zdjęciu ogólny widok na zburzone domy w Long Beach. Fotografja przesłana drogą radjową. *Keystone — Berlin.*



ZGON STRAŻNIKA STAREGO KRAKOWA. Dia 11 bm. zmarł w 83-cim roku w Krakowie śp. dr. Stanisław Tomkowicz, dyr. Wydziału historyczno-literackiego Polskiej Akademji Umiejętności i przewodniczący jej komisji dla badania historji sztuki. Zmarły, znakomity historyk sztuki i autor wielu dzieł z jej zakresu, zasłużył się dla zachowania i konserwacji zabytków Starego Krakowa, oraz dla odnowienia Wawelu. Cześć Jego pamięci!

121

JEDNODNIOWY DYKTATOR GRECJI.



Generał Plastiras, który ogłosił się dyktatorem Grecji. Władzę sprawował jednak tylko niecały dzień, poczem musiał uciekać.

W Grecji od zakończenia wojny ważą się wpływy republikańskie, reprezentowanie przez Venizelosa i monarchistyczne, których wyrazicielem jest partja ludowa, na czele której stoi Tsaldaris. Języczkiem uwagi jest armja usposobiona przeważnie republikańsko. Wybory odbyte dnia 5 marca, przyniosły klęskę republikanom, którzy zdobyli tylko 113 mandatów, podczas gdy monarchiści 135. Ci ostatni, aby ukarać armję za jej przekonania republikańskie, postanowili przeprowadzić redukcję armji a przy tej sposobności pozbyć się swoich najzagorzalszych przeciwników w korpusie oficerskim. Aby tego uniknąć, szef republikańskiej Ligi oficerskiej gen. Plastiras spróbował dokonać zamachu stanu i ogłosić się dyktatorem. Dyktatura jednak jego trwała wszystkiego tylko 24 godzin, ponieważ w armji nastąpiło rozdwojenie i wypowiedział się przeciwko jemu gen. Kondillis, zarządzając na własną rękę mobilizację pięciu roczników i grożąc marszem na Ateny, na czele 20.000 żołnierzy. Ta groźba poskutkowała, gen. Plastiras uciekł samolotem do Egiptu a w Grecji został utworzony rząd koalicyjny. Obecnie panuje tam spokój.



Nowy premjer grecki Tsaldaris, monarchista przywódca ludowców.



Demonstracje w Atenach przeciwko dyktaturze.

Wide-World Photos — Paris

A JEDNAK WE WŁODZIMIERZU WOŁ. ZNALEZIONO INSYGNJA KRÓLEWSKIE.

W odpowiedzi na artykuł „Światowida" pt.: „Niechaj wynijdzie z ukrycia Korona Łokietkowa", otrzymaliśmy list p. Adama Czekalskiego, który poniżej drukujemy.

Sprawa odnalezienia insygnji królewskich, poruszona ostatnio przez „Światowid", jest dla całego narodu polskiego zbyt ważną sprawą, aby nie wyczerpać jej do końca, a co najważniejsze, aby przejść nad nią do porządku, nie zbadawszy tajemnicy gruntownie. Z tego założenia wychodząc, jestem zdania, że każdy najdrobniejszy nawet szczegół, tej sprawy dotyczący, powinien być podany do wiadomości publicznej i publicznie przedyskutowany.

Ja osobiście z tajemniczą sprawą ukrycia insygnij królewskich we Włodzimierzu Wołyńskim zetknąłem się w roku 1925 z okazji pobytu w tem mieście w charakterze korespondenta „IKC". Bawiąc wtedy w gościnie u jednego ze znajomych, pewnego dnia dowiedziałem się, że insygnja te faktycznie we Włodzimierzu Woł. były ukryte, i że specjalna komisja, złożona z wojskowych, która po insygnja przybyła, zabrała je w paru dużych skrzyniach i odjechała do Warszawy. Ówczesne władze duchowne we Włodzimierzu Woł. całą tę sprawę znają bardzo dobrze, to też dziwnem się wydać musi, że uparcie do dnia dzisiejszego milczą.

Jeden z miejscowych nauczycieli, p. W. (nazwiska nie podaję z pewnych względów), który przybył do Włodzimierza w charakterze nauczyciela razem prawie z zajęciem Wołynia przez wojska austro-niemieckie, pochodzący z Małopolski i znający przynajmniej pobieżnie tajemniczą sprawę ukrycia we Włodzimierzu insygnij królewskich, zainteresował się nią na miejscu, próbując zgłębić tajemnicę. Ten to nauczyciel, na podstawie długoletnich poszukiwań i dociekań, był już prawie u źródła zagadki, gdy... owa komisja wojskowa insygnja wywioza. P. W. był świadkiem tego uwożenia skarbu krytycznej nocy i opowiedział mi wszystkie szczegóły, jakie temu uwożeniu towarzyszyły. Jako korespondent „IKC" uznałem tę sprawę za zbyt ważną, aby ją pominąć milczeniem, to też natychmiast napisałem obszerną korespondencję, którą wysłałem do Krakowa. Niestety jednak, czy list nie doszedł, czy z jakich innych względów — korespondencja ta się nie ukazała, na co nawet w powtórnym liście do Redakcji „IKC" skarżyłem się.

W tym czasie sprawa wywiezienia skarbu z Włodzimierza była bardzo głośna. P. W., który — o ile mi wiadomo — do dziś mieszka w Włodzimierzu, mógłby udzielić w tej sprawie szczegółowych wyjaśnień, gdyby go o to poproszono, ale — broń Boże! — nie przez policję. Albowiem człowiek ten, właśnie z powodu tej sprawy i swojego udziału w niej, miał już tyle nieprzyjemności z różnych stron, aż do zwolnienia go z posady kierownika szkoły włącznie, że napewno nie zechciałby się znowu narażać.

Jest faktem, że insygnja królewskie we Włodzimierzu się znajdowały, że zostały stamtąd wywiezione przez bliżej nieznanych ludzi. Należy więc obecnie uczynić wszystko, aby dojść (a to nie jest bynajmniej niewykonalne), kto to był? Idąc po nitce do kłębka, można mimo wszelkich przeszkód, dojść do sedna rzeczy i tajemnicę zgłębić. P. W. jest pierwszą nicą, od której należy zacząć badanie tajemnicy.

Gorączka dolarowa.



Zamknięcie szeregu banków w Stanach Zjednoczonych Ameryki i popłoch, jaki powstał wśród drobnych ciułaczy amerykańskich, którzy rzucili się do masowego wycofywania swoich oszczędności, spowodował rząd do zamknięcia giełdy i ogłoszenia świąt bankowych. Zarządzenia te jednak nie uspokoiły umysłów i nie opanowały paniki, która ogarnęła także giełdy europejskie. Wskutek tych wszystkich przyczyn, dolar, uważany dotąd za niewzruszoną walutę, drgnął i wykazuje tendencję zniżkową. Przez kilka dni nie notowały go giełdy we wszystkich ważniejszych państwach europejskich. Szczególne podniecenie panowało w Paryżu, jako stolicy finansowej świata. Na zdjęciu widok giełdy w Paryżu w dniu 6 marca w czasie paniki dolarowej.

Wyścig po błocie.



Coroczny wyścig angielski pod nazwą Victory Motor Trial, odbył się w tych dniach w warunkach szczególnie ciężkich. Wskutek bowiem ulewnych deszczów i powodzi, trasa tego wyścigu, biegnąca drogą obok Bedley i Kidderminster koło Londynu, zamieniła się w jedno wielkie trzęsawisko, w którem koła wozów tonęły po osie. Na zdjęciu jedna z kierowczyń na trójkołowcu, usiłująca naprożno przy pomocy ośmiu ratowników ruszyć wóz z miejsca na pagórku Red Tharley. Coś, jak u nas!

Adoracja armat w Boliwji.



Boliwja, prowadząca wojnę z Paragwajem o Grand Chaco, ogarnięta jest obecnie szałem nacjonalistycznym. Dorośli, kobiety, młodzieńcy, a nawet dzieci manifestują po ulicach miast boliwijskich i szaleją z radości na każdą wiadomość o zwycięstwie. Co jakiś czas urządzane są uroczystości ku czci poległych, które zaczynają się nabożeństwem żałobnem i przemówieniami oficerów (na zdjęciu), a kończą burzliwemi demonstracjami za wojną „aż do zupełnego zwycięstwa".

Pchli targ w Paryżu.

„Krakowskim targiem" najlepiej dokonuje się transakcyj. Nawet na „pchlim targu" w Paryżu. „Marche aux puces" jest rodzajową nazwą, określającą bardzo pożyteczną w pewnych sferach instytucję. Gdyby to było w Krakowie, nazwaliby to zupełnie popularnie i mniej metaforycznie — „tandetą", w Warszawie — Kercelakiem. W Paryżu nazywa się to „pchlim targiem" i znajduje się koło Porte de Clignancourt. Zamożniejsi ludzie zadawalniają się w razie trudności finansowych lombardem, który nad Sekwaną, z nieznanych mi powodów, nosi piękną nazwę „mont de piete" (góry pobożności). Biedni — idą na „pchli targ". Sprzedają, kupują — obroty wyrażają się w śmiesznie niskich cyfrach. Czasem zresztą dzieją się tu dziwne rzeczy i za niskie ceny można dostać rzecz wartościową. Ale na to trzeba być specjalistą. Pewien znajomy malarz kupił tu za 50 fr. obraz sławnego malarza francuskiego i zaraz na drugi dzień sprzedał go na rue de la la Boetie za 3.000 fr. Trzeba dodać, że malarz ten znajdował się w nędzy i dlatego przystał na drakońskie warunki „marchanda" z rue de la Boetie, gdyż w przeciwnym razie byłby uzyskał zapewne ze dwa razy tyle.



Na paryskim Kercelaku.



Publiczka kupująca na „targu pchlim" w Paryżu nie rekrutuje się z najlepszych sfer.

„Marche aux puces", pomimo swej niepoetycznej nazwy, zawiera w sobie wiele poetyckości. Już sama publiczność jest bardzo malownicza. Obok eleganckich ludzi, przychodzących tu w celach „turystycznych", spotyka się tłumy, należące do najniższych sfer Paryża, dla których ów „pchli targ" jest rzeczywiście miejscem do robienia interesów, swoistą giełdą, umożliwiającą kupno, sprzedaż i wymianę.

Dostać tu można wszystko. Od ubrań i bielizny, kryształów, obrazów, lichtarzy, starożytności, aż do przedmiotów zupełnie niepotrzebnych, starych rur od pieca, żelaziwa, starzyzny... Jest to rodzaj wielkiego magazynu dla najbiedniejszych sfer... Koszty handlowe są nieduże, „kupcy" nie płacą lokalu, światła i personelu. Dlatego ceny są niskie.

„Marche aux puces" stanowi jeden z najbardziej charakterystycznych zakątków Paryża. Znaczenie tej „giełdy ubogich" jest niezmiernie duże, dlatego władze patrzą się pobłażliwym wzrokiem nawet na pewne „niedokładności" kupców, którzy niezawsze żądają świadectwa legalnego pochodzenia sprzedawanych przedmiotów. W dnie „targowe" wre tu życia w całej pełni i zabłąkany w te okolice cudzoziemiec nie może się nadziwić jego intensywności i lokalnemu kolorytowi. Bo „marche aux puces" jest jedną z najbardziej paryskich dzielnic Paryża. **Fr.**

FATALNA POMYŁKA BRIANDA.



W rocznicę śmierci ministra Brianda odsłonięto w Pacy jego pomnik (na zdjęciu) dłuta Guillauma, przedstawiający zmarłego, jako Apostoła pokoju. *Wide-World Photos — Paris.*

Zaledwie rok minął od śmierci Arystydesa Brianda, francuskiego ministra spraw zagranicznych, który w okresie powojennym odgrywał tak dominującą rolę w polityce światowej, a już okazuje się, że dzieło jego zupełnie zbankrutowało i że polityk ten uważany za wielkiego, był w gruncie rzeczy krótkowidzem, nieorjentującym się ani w rzeczach, ani w ludziach. On to bowiem zapoczątkował politykę ustępstw wobec Niemiec, on, jak się to okazuje z pamiętników Stressemanna, dawał się wodzić za nos Niemcom i nie poznał się na ich szalbierczej grze. Rozzuchwalone ustępstwami Francji i zwycięskiej koalicji Niemcy, buchnęły płomieniem żądzy odwetu i zemsty, gotując wszystkim „pięknoduchom“ i pacyfistom ogromny zawód.

Niemniej jednak do Brianda należy przyszłość. Szalejący we wszystkich krajach nacjonalizm, doprowadzi już niebawem sytuację gospodarczą świata do absurdu i wtedy dopiero stanie się jasnem, że ludzkość jest jedną wielką rodziną i że przy dzisiejszym rozwoju techniki nie można odgradzać się, ale dążyć do współpracy i pokoju opartego o poszanowanie podstawowych praw człowieczych.

Z TEKI MŁODEGO GADUŁY.

MUCHA MA CZTERY NOGI...

Przeglądając dzieła pjonierów wiedzy dawno minionych czasów, ze zdziwieniem znajdujemy w nich obok wielkich myśli, poglądy naiwne, dziecinne, uderzające swą niedorzecznością.

A jeśli zdumiewają nas kontrasty rodzące się w genjalnym umyśle, ileż więcej zdumiewać nas winna bierność miljonów, nie znajdujących w swych duszach niczego, coby odruchowo mogło odrzucić absurd.

Może tej bierności przypisać należy trwanie zacofania na znacznej przestrzeni dziejów, może to ona nie pozwala na przyjęcie nowych haseł i teoryj.

Jej to powszechne władztwo było przyczyną tragiedyj zarówno wielu jednostek, jak i całych społecznych grup i narodów.

Na ten temat możnaby napisać wcale pokaźne dzieło.

Jednym z najpotężniejszych umysłów, jakie znają dzieje wiedzy, genjuszem, który stał się wyrocznią we wszystkich sprawach nauki i polityki na przestrzeni blisko dwu tysiącleci, był Arystoteles.

Wielki Stagiryta położył podwaliny pod rozwój wiedzy, ale stał się też przeszkodą dla jej postępu.

Potomni poczęli go uważać za nieomylną wyrocznię i nie ważyli się kwestjonować słów mędrca.

A jednak tak wiele tych słów domagało się sprostowania, tak wiele „nieomylnych“ poglądów odrzucenia.

Ile zyskałyby przedewszystkiem nauki przyrodnicze, gdyby wcześniej zdjęto z nich balast „aksiomatów“ arystotelesowskich.

I nie chodziło tu o sprawy wymagające wielkiego wyszkolenia czy zawiłych eksperymentów. O słuszności, czy niesłużności słów mistrza mógł się przekonać byle prostaczek, byleby tylko chciał patrzeć.

I tak twierdził wielki filozof, że barany, capy, wieprze i... mężczyźni mają więcej zębów niż samice.

Z pośród wszelakich stworzeń na świecie, jeden tylko człowiek posiada mięśnie w nogach.

Kropla wina w beczce wody zmienia się w wodę.

Lewa strona ludzkiego ciała jest chłodniejszą od prawej.

Ukąszenie wściekłego psa zaraża wścieklizną wszystkie stworzenia z wyjątkiem człowieka.

Wychowawca Aleksandra Wielkiego, opowiada jeszcze ciekawsze rzeczy z przeświadczeniem o ich prawdziwości.

Zna np. pewną odmianę wołów posiadających kość w sercu.

Wierzy niewzruszenie, że tylna część czaszki ludzkiej jest zupełnie pusta, a mózg nie ma dopływu krwi.

Ale ze wszystkich tych itp. tez i poglądów najklasyczniejszem było twierdzenie, że **mucha ma cztery nogi.** Trudno doprawdy uwierzyć, że ten tak jaskrawo w oczy rzucający się błąd, utrzymał się przez zgórą 2000 lat i dotrwał do połowy XIX (!) wieku, pokutując w wielu podręcznikach szkolnych.

Nikomu z przyrodników, piszących te podręczniki nie wpadło na myśl, że przecież warto policzyć musze nogi i przekonać się naocznie, czy starożytny mędrzec miał rację.

A jednak wiara w nieomylność starego filozofa, była tak silną, że nikomu nie nasunął się nawet cień podejrzenia, kwestjonującego arystotelesowskie dogmaty.

Inny tytan sztuki i wiedzy, wielki **Lionardo da Vinci** w dziele swem „Bestiarius“ zna wiele, bardzo wiele cudownych i niepospolitych stworzeń.

Cykada, to dziwny ptak — mówi autor — ginie w oliwie, ożywa w occie, gdy śpiewa, milkną kukułki.

Kameleon, to ptak arcyosobliwy. Wszystkie ptaki godzą na jego życie. By uniknąć pościgu, wzlattuje kameleon wysoko, ponad chmury, gdzie rzadkie powietrze uniemożliwia lot jego prześladowcom.

Boa, to wysoce dowcipny wąż. Splotami swemi pęta krowie nogi, poczem ssie mleko z ubezwładnionego stworzenia. A zabieg ten wyczynia z taką żarłocznością, że wraz z mlekiem, wysysa wszystkie życiowe soki biednego bydlęcia, zostawiając tylko skórę i kości.

Żółw żywi się ziemią. Mimo żarłoczności biedak zawsze źle wygląda, martwi się bowiem, że kiedyś zabraknie mu ziemi do jedzenia.

Bóg uchronił człowieka od śmierci. Chodzi po świecie stworzenie gnu, zabijające ludzi samem spojrzeniem. Całe szczęście, że łeb ma tak ciężki, iż go unieść nie potrafi, nie może więc i patrzeć na ludzi, mając stale skierowane oczy ku ziemi.

Tak pisał jeden z najgenjalniejszych ludzi renesansu, a jego poglądy trwały bardzo długo, przyjmowane bez zastrzeżeń.

Tych kilka drobiazgów niech świadczy, że i genjusz mylić się może i to nawet bardzo, a zasada „iurare in verba magistri“ nie jest hasłem postępu.

J. B.



Dzień św. Józefa w ubiegłym roku zastał Marszałka Piłsudskiego w Helouanie w Egipcie. Na zdjęciu Marszałek Piłsudski, przechadzający się po ogrodzie w dniu Swoich Imienin w Helouanie.



W roku 1931 w marcu bawił Marszałek Piłsudski na wyspie Maderze. Na zdjęciu Funchal, stolica tej wyspy, w kole flaga polska ze statku „Niemen", który zawinął na Maderę w drodze z Ameryki południowej do Polski.



Na Maderę w dniu Imienin Marszałka Piłsudskiego popłynęło w r. 1931 dziesiątki tysięcy listów. Na zdjęciu płk. Woyczyński segregujący pocztę.

Kpt. MIECZYSŁAW B. LEPECKI.

JAK MARSZ. PIŁSUDSKI SPĘDZAŁ IMIENINY.

Marszałek Piłsudski zwykł mawiać, że w czasach dzieciństwa nie miał właściwie nigdy imienin, gdyż całą uwagę pochłaniała w tym dniu osoba jego ojca, również Józefa. Przy takim zbiegu okoliczności, „konjunktura" na imieniny małego Ziuka była bardzo kiepska. Wszystko w tym dniu przygotowywało się pod znakiem Józefa-ojca, a nie syna. Pamięć o tem Marszałek Piłsudski zachował dotychczas i nawet niedawno przytoczył to w rozmowie, dodając, że dla jego córek, Wandzi i Jagody, rok dzieli się właściwie na cztery okresy: imieniny jego, matki i ich dwóch.

Jako uczeń gimnazjum Józef Piłsudski spędzał swoje imieniny zwykle poza Żułowem, gdyż przypadały one w czasie szkolnym. Był to okres życia, w którym dla niego, tak jak dzisiaj dla jego córek, miały olbrzymie znaczenie podarunki, otrzymywane od rodziców, czy też krewnych. Ziuk Piłsudski był wprawdzie chłopcem niezwykłym ze swojem zamknięciem, małomównością i poważnem patrzeniem na świat, nie na tyle jednak różnił się od rówieśników, aby nie marzyć o radosnej perspektywe otrzymania zegarka, strzelby, czy też ciekawej książki.

Lata dziecinne i młodzieńcze urwały się nagle. Było ich, tych lat sielskich-anielskich, bardzo niewiele. Zaledwie poczuł ich za sobą dziewiętnaście, gdy w życie jego wtargnęły rosyjskie władze carskie. W miesiąc po imieninach w roku 1887 zjawili się na progu jego mieszkania żandarmi i powlekli z sobą, aby nie zwrócić wcześniej, aż za lat pięć.

Młody Ziuk, który tylko dlatego szczycił się już wówczas wąsikami, gdyż zawsze miał skłonność do bujnego zarostu, odbył drogę krzyżową wielu pokoleń Polski porozbiorowej. Piechotą i w kibitce (kolei jeszcze wówczas nie było) przemierzył trzy czwarte Europy i pół Azji, aby wreszcie znaleźć się na miejscu zesłania.

Imieniny w roku 1888 spędził w Kireńsku, małej mieścinie sybirskiej, leżącej nad rzeką Leną, w odległości tysiąca wiorst od gubernjalnego miasta Irkucka. Nie były to imieniny wesołe. Właściwie nie było ich wcale.

Dzień ten zaznaczył się jeszcze smutniej od codziennych dni zesłańczych. Młody Piłsudski przypominał sobie napewno dawne rocznice, spędzone w Wilnie, czy Żułowie, życzenia rodziców, braci, siostry...

Nostalgja, ta nieodstępna towarzyszka wygnańca, musiała w dwójnasób boleśnie przypominać o swojej obecności i w dwójnasób boleśnie ranić wrażliwe, romantyczne serce Piłsudskiego.

Jeszcze cztery razy obchodził dzisiejszy Marszałek imieniny na Sybirze. W roku 1889 w Kireńsku, w latach zaś 1890, 1891 i 1892 w Tunce, miejscowości położonej na południe od jeziora Bajkalskiego, nad rzeką Tunką, przy jej ujściu do Irkutu (dopływ rzeki Angary). Napewno jednak nie były one już tak ciężkie, jak pierwsze, spędzone pod obcem niebem. Czas, który wprawdzie nostalgji zgładzić nie jest w stanie, zabliźnia jednak jej rany skutecznie.

Imieniny na Sybirze musiał Józef Piłsudski odczuwać niemile, ale co powiedzieć dopiero o uczuciach, doświadczanych w tych dniach w jego domu rodzinnym. Syn ukochany gdzieś daleko, w śniegach... Dla rodziców Ziuka był to czas szczególnie bolesnej żałoby. I tylko duma, która wzbierała w sercach na myśl, że ich dziecko cierpi dla ojczyzny, była balsamem, kojącym ich zbolałe dusze.

Potem począł się nizać różaniec imienin mniej bolesnych. Piłsudski rzadko je spędzał na łonie rodziny. Jest bardzo ruchliwy, wciąż przemierza Polskę, z końca w koniec i nie ma czasu na zabawy. Dnie te przypadają mu też często na obczyźnie. W Anglji, we Francji, to znowu w Szwajcarji, w Japonji... Dzisiaj nie sposób byłoby ułożyć je porządnie, jedne po drugich. Teraz właśnie mijają już sześćdziesiąte szóste.

W okresie życia konspiracyjnego mijały różnie. Raz hucznie, z zabawą, to znowu bez echa, a może nawet trafiały się i takie, o których nikt nie pamiętał. Wśród nich głębokim cieniem padły imieniny w roku 1900. Był to czas, gdy Józef Piłsudski dostał się znowu w ręce władz carskich. Z trudem, przy olbrzymim wysiłku organizacji bojowej, udało mu się oszukać czujność dozorców i ku wstydowi butnej i zarozumiałej żandarmerj, uciec zagranicę.

Już od czasów powstania Związku Walki Czynnej, a w szczególności Związku Strzeleckiego, imieniny Józefa Piłsudskiego stają się zwolna pewnego rodzaju demonstracją. Zwolennicy jego poczynają, narazie niewątpliwie podświadomie, wiązać je z uroczystościami narodowemi. Obchód imienin Józefa Piłsudskiego stawał się obchodem niepodległościowym. Jego imię było związane tak mocnemi nićmi z wszelką akcją budowniczą, że okrzyk: „niech żyje Piłsudski!" brzmiał jak synonim okrzyku: „niech żyje niepodległość!". I nawet ten okrzyk rozumiały władze zaborcze, które w czasach wojny światowej patrzały na jego działalność nieufnie i podejrzliwie.

Nie przeszkadzało to jednak patrjotom urządzać już wówczas uroczystych obchodów imieninowych. W wielu miejscowościach, gdzie przytłamszone przez okupantów publiczne życie polskie ledwie tliło, obecność na obchodzie imienin Komendanta była niekiedy jedynym sposobem wyrażenia swoich uczuć narodowych.

Już z owego czasu datuje się u dzisiejszego Marszałka Piłsudskiego niechęć do brania udziału w tych wszystkich uroczystościach, które na jego cześć jego zwolennicy w dniu dziewiętnastego marca zwykli urządzać. Niechęć ta jest zupełnie usprawiedliwiona, w człowieku tak skromnym, jakim w życiu prywatnem jest Józef Piłsudski. Czyż bowiem może być miło słuchać nieprzeliczonych mów pochwalnych, wygłaszanych wprost w oczy?... Pochlebstwo nie ma dostępu do kryształowej duszy Komendanta, nie sprawia mu zadowolenia, to też i udział w obchodach bierze tylko bardzo rzadko.

Do różańca bolesnych rocznic imieninowych, obok rocznic sybirskich i więziennych, należy donizać jeszcze rocznicę z roku 1918. Spędził ją Józef Piłsudski poraz ostatni w więzieniu. Teraz w więzieniu innego zaborcy — Prusaka. Był to czas, gdy Legjony odmówiły na jego rozkaz złożenia przysięgi na wierność państwom sprzymierzonym. Otoczone wokoło przez wojska niemieckie, pozbawione amunicji i sprzętu wojennego, zdane na łaskę i niełaskę, rzuciły zuchwale rękawicę w twarz dwom cesarstwom, które w owym czasie stanowiły jeszcze prawdziwą potęgę. Z najdumniejszą pieśnią świata na ustach, z okrzykami, które zaborcy rozumieli, jak: „niech żyje niepodległość", a które brzmiały: „niech żyje Józef Piłsudski", poszły w ciężką niewolę. Dolę ich podzielił wódz. Dziewiętnasty marca 1918 roku zastał go w więzieniu. Wywieziono go wówczas wraz z Kazimierzem Sosnkowskim wgłąb Niemiec, do Magdeburga. I tutaj właśnie, w odosobnieniu, bez wiadomości z kraju i ze świata, w niepewności o losach Polski i swoich żołnierzy, spędził Józef Piłsudski może właśnie najsmutniejsze imieniny swego życia.

A teraz lata niepodległości: radość, entuzjazm, uniesienie... W twardej służbie mijają lata 1919, 1920, 1921, 1922. Imieniny Marszałka Piłsudskiego uzyskały trwałą tradycję. Stały się niepisanem świętem narodowem. Bierze w nich udział cały naród. W kościołach rozbrzmiewają w tym dniu modlitwy, przyłączają się do nich cerkwie, kirchy, bożnice i kenasy.

Jak każda wielkość, ma Piłsudski nieprzyjaciół i zawistnych. Czasu wojny z Rosją siedzą oni cicho. Boją się. Ale gdy tylko wszelkie niebezpieczeństwo minęło, skrzykują się z całej Polski i śpiesznie mobilizują przeciw niemu. Niezadowoleńcy, zawistni, krzykacze, łapownicy, no i wszelka reakcja społeczna wychodzi wprost ze skóry, aby Józefa Piłsudskiego ugryźć. Chociażby w pośladkę, ale ugryźć. Imieniny w roku 1923 zastają Marszałka Piłsudskiego pełnego goryczy dla niewdzięczności społeczeństwa, dla jego rozwiązłości politycznej i głupoty. W Polsce rządzi Mateusz Bigda.

Jeszcze jednak w Belwederze nie wystygło miejsce po Józefie Piłsudskim, gdy w kraju poczyna rosnąć niezadowolenie i ferment przeciw porządkowi rzeczy, który przecież w rzeczywistości nie był odzwierciadleniem stanu dusz i nastrojów narodu. Żywioły, które Polskę wraz z Piłsudskim dźwigały z nicości, poczęły spoglądać po sobie i myśleć o konfederacji. Znajduje to swój wyraz w uroczystościach imieninowych. Szczupłe ściany dworku sulejowskiego pękają wprost w dniu dziewiętnastym marca roku 1924. Przyjeżdżają ludzie zewsząd, wiedząc zgóry, że nie dostaną się nietylko do wnętrza dworku, ale kto wie czy znajdą piędź miejsca w ogrodzie. Nic to jednak nie znaczy, tłumy płyną, zahypnotyzowane wspaniałą postacią Marszałka.

Mija rok 1925 i oto jesteśmy w przededniu wielkich przemian w Polsce.

Imieniny w roku 1926 były bardzo znamienne. — Kilka tysięcy oficerów z garnizonów najbliższych Warszawy udało się w tym dniu do Sulejówka, aby zapewnić o swojem przywiązaniu wodza, który poprowadził ich do pierwszej w historji polskiej od trzystu lat zwycięskiej wojny. Gdy Marszałek Piłsudski wyszedł do tego tłumu i spojrzał mu w oczy, wyczytał w nich wierność żołnierską. Dzień tych imienin napewno nie był tak tak gorzki, jak w dwóch latach poprzednich.

Drugi okres rządów Marszałka Piłsudskiego w Polsce zaznaczył się w uroczystościach imieninowych wspaniałością i powszechnością. Jak w pierwszych latach niepodległości, tak i teraz dzień ten dał okazję szerokim rzeszom społeczeństwa wykazać swoje przywiązanie i swoją wdzięczność dla człowieka, którego wysiłkom i pracy zawdzięczamy dzisiejsze nasze granice.

Lata: 1927, 1928, 1929 i 1930 są świadkami olbrzymiej popularności Marszałka. Tenże jednak uchyla się w miarę możności od uczestniczenia w obchodach i dzień dziewiętnastego marca spędza w gronie najbliższej rodziny.

Ostatnie dwie rocznice imieninowe spędził poza krajem. W roku 1931 na wyspie Maderze, w Funchalu; w roku zaś 1932 — w Egipcie, w Helouanie. Nie oznacza to bynajmniej, aby kraj w dniach tych nie składał mu zasłużonego hołdu. W roku 1931 hołd ten przybrał formę niezwykłą, która, być może, zdarzyła się w historji po raz pierwszy. Oto olbrzymie masy ludności postanowiły wysłać na daleką Maderę życzenia Marszałkowi pocztą. Efekt tego był olbrzymi. — Do cichej willi „Quinta Bittencourt" w Funchalu napłynęło kilka miljonów kart pocztowych i listów. Wątpię, aby kiedykolwiek stniał na świecie człowiek, któryby otrzymał życzenia w liczbie podobnie astronomicznej.

Tak się złożyło, że w roku 1931 znajdowałem się również w Funchalu i byłem jedynym Polakiem, obok dra Marcina Woyczyńskiego, który w dniu tym składał Marszałkowi Piłsudskiemu życzenia osobiście.

Przyszedłem tego dnia do *Quinta Bittencourt* rano. Pomimo wczesnej godziny zastałem już dra Woyczyńskiego zagrzebanego po same uszy w stosach poczty imieninowej, którą starał się jakoś posegregować, wyławiając z powodzi życzeń listy zwykłe. Po chwili wszedł Marszałek Piłsudski.

— Panie Marszałku — odezwałem się — składam posłusznie najlepsze życzenia.

Marszałek spojrzał na mnie przyjaźnie.

— Dziękuję ci, dziecko — rzekł.

Zaledwie zdążyliśmy wypić herbatę, gdy zadźwięczał u furty ogrodowej dzwonek. To przybywał gubernator wyspy, p. Almeida Cabaco. Złożył on Marszałkowi życzenia w imieniu rządu i swojem. Ponadto, prezydent Portugalji gen. Carmona nadesłał telegram z życzeniami własnemi.

Imieniny spędzone na Maderze były pierwszemi od kilkunastu lat imieninami, spędzonemi w spokoju i ciszy. Marszałek Piłsudski mówił o tem z nieukrywanem zadowoleniem. Wyobrażam sobie, jak musiał czuć się zadowolony w atmosferze swobodnej, bez sytuacyj przymusowych, jakich w kraju dzień ten zawsze, pomimo unikań, dostarczał mu.

W trzy dni po tem święcie rodzinnem, dnia 22 marca, opuścił Marszałek Piłsudski wyspę na polskim okręcie wojennym „Wicher", który przybył tutaj po niego.

W roku ubiegłym przypadł dzień imieninowy, jak to już zaznaczyłem wyżej, w Egipcie. Tam jednak, w przeciwieństwie do Madery, istnieje wprawdzie niewielka, ale w każdym bądź razie istnieje kolonja polska, a więc w dniu dziewiętnastym marca nie miał Marszałek Piłsudski takiego idealnego spokoju, jak w Funchalu. Już z samego rana zjawili się w pensjonacie „Jola", w którym mieszkaliśmy, urzędnicy poselstwa polskiego z Kairu. Marszałek Piłsudski ich przyjął, gawędząc z nimi przeszło pół godziny. Gorzej powiodło się przedstawicielom kolonji polskiej i miejscowej władzy egipskiej. Zarówno rodacy, jak i mamur, czyli starosta heluański, musieli zadowolić się jedyniem wpisaniem do specjalnie w tym celu wyłożonej książki.

Resztę dnia spędził Marszałek Piłsudski samotnie, czytając i przysłuchując się muzyce gramofonowej, zdając się w zupełności na mój „gust" w doborze płyt.

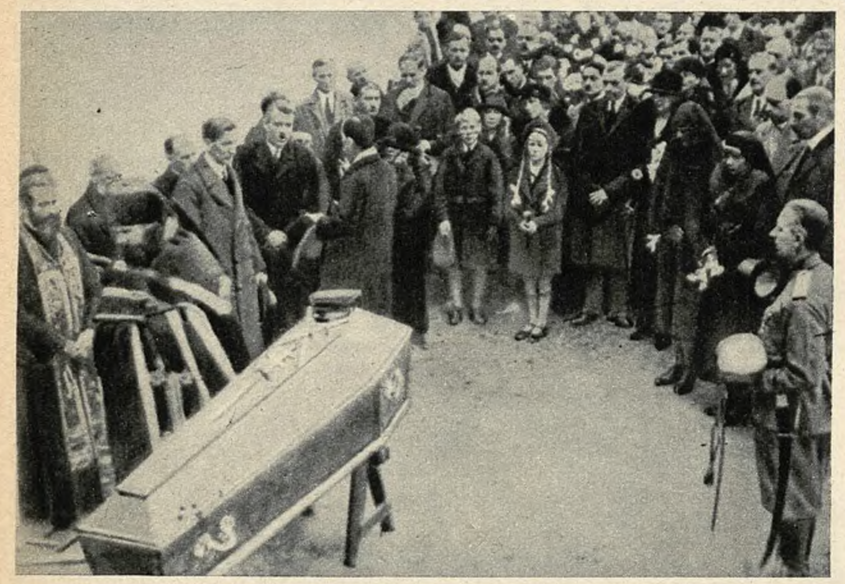
Miasto Helouan wzięło żywy udział w dniu imienin Marszałka. A więc na szeregu gmachów wywieszono chorągwie o barwach polskich, tosamo zrobili księża katoliccy na kościołach, a paru sympatyków Polski — nawet na domach prywatnych. Nad willą „Jola" powiewał również czerwono-biały znak, obok zielonej chorągwi proroka z białym półksiężycem i takiemiż gwiazdami.

Aczkolwiek rok 1932 był już drugim zkolei, który Marszałek Piłsudski spędzał poza krajem, w Polsce dzień ten był świętowany po dawnemu. Iluminacje, pochody i akademje urządzano jak Polska szeroka, dając ten wyraz swoim nastrojom.

Dzisiaj obchodzimy sześćdziesiąte szóste imieniny Komendanta. Gdy się zważy, że Hindenburg obchodził już osiemdziesiąt pięć rocznic swoich urodzin i jest pomimo tego pełen energji, serca nasze napełnia radość, że Marszałek Piłsudski jest jeszcze tak młody i że tak wiele może jeszcze z siebie ofiarować.

REPORTAŻ ZE ŚWIATA.





ZDALA OD ROSJI MATUSZKI. W Roguedurne, w pobliżu Nicei, odbył się pogrzeb (na zdjęciu) w obecności duńskiej pary królewskiej i wielkiej księżniczki Kseni, wielkiego księcia rosyjskiego Aleksandra. W życiu politycznem w przedwojennej Rosji nie odgrywał on większej roli. Ostatnie lata swojego życia spędził we Francji. *Scherl — Berlin.*

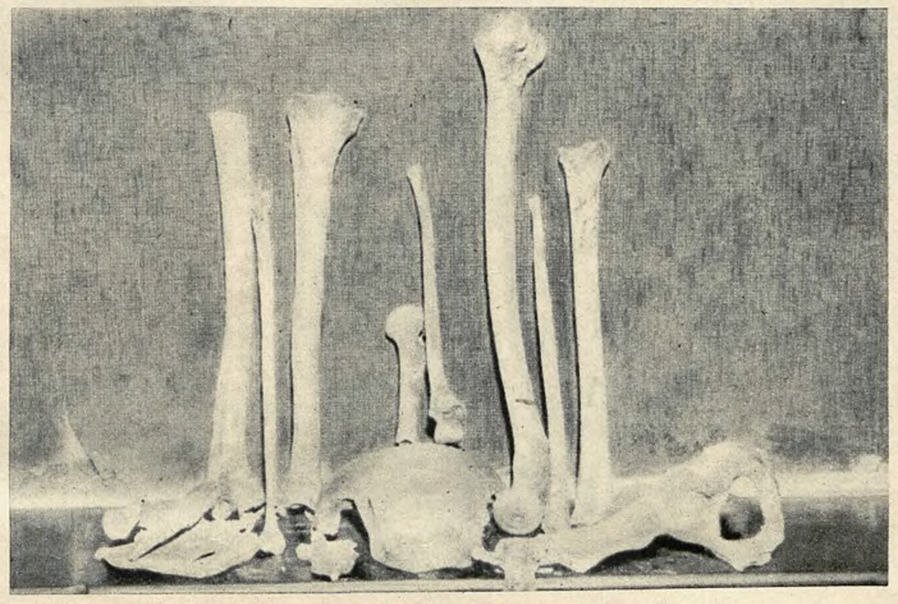
PLAGA AUSTRALJI. Nieszczęściem piątej części świata są króliki, które się tam rozmnożyły w katastrofalny sposób. Jak dotąd, nie pomogły żadne środki, zastosowane przez naukę i technikę w celu wytępienia tych szkodników, które, kopiąc nory w ziemi, wyrządzają ogromne szkody rolnictwu i rujnują teren. Obecnie miljony królików wtargnęły także do Nowej Walji i na południe Australji. Farmerzy tępią je masowo (na zdjęciu), ale zdaje się i oni zostaną zwyciężeni przez te pozornie bezbronne, ale groźne przez swoją płodność gryzonie. *Presse-Photo.*



ZBUNTOWANI ŻOŁNIERZE UTOPILI W JEGO PIERSI BAGNETY. Generał Tang-Yu-Lin (na zdjęciu), chiński gubernator prowincji Dżehol, został zamordowany przez swoich żołnierzy za to, że niedość energicznie bronił kraju przeciwko inwazji japońskiej. W ogólności generałowie chińscy nie stanęli na wysokości zadania. Nie potrafili zorganizować obrony i natchnąć wojska duchem ofensywnym, ale przeważnie patrzyli swoich interesów i dawali się przekupywać Japończykom. *Sport & General, London.*



TURKÓW NIE WOLNO DRAŻNIĆ. Studenci uniwersytetu w Istambule, dowiedziawszy się, że dyrekcja kompanji wagonów sypialnych zakazała jednemu ze swych urzędników porozumiewać się ze stronami w języku tureckim, urządzili najazd na lokal, w których znajdują się biura tej kompanji i wybili kamieniami wszystkie szyby. Policji z trudem udało się zaprowadzić porządek i uspokoić wzburzone umysły studentów. *Scherl — Berlin.*



JESZCZE JEDNA OFIARA LANDRU'EGO. Na przedmieściu Paryża Clichy przy ul. de Paris znaleziono pod kamienną posadzką w sklepiku pewnej kobiety, znanej powszechnie pod mianem „mamy Henry", szkielet kobiety (na zdjęciu), który tam już musiał leżeć kilkanaście lat, przypuszczalnie od 1918 r. Ponieważ w sąsiedztwie tego sklepiku mieszkał słynny morderca kobiet Landru, prawdopodobnem jest, że on także dopuścił się świeżo wykrytej zbrodni. Jak wiadomo, Landru został skazany na karę śmierci i zgilotynowany. *Wide-World Photos — Paris.*



Z KONFERENCJI ROZBROJENIOWEJ. Na miejsce zmarłego niedawno hr. Apponyi, został zamianowany stałym delegatem Węgier na Komisję rozbrojeniową gen. kawalerji Gabrjel Tanczos (na zdjęciu). Zaczął on służbę wojskową w 1891 r. jako podporucznik w 13-tym pułku huzarów. W czasie wojny bałkańskiej w randze podpułkownika był przydzielony do głównej kwatery greckiej. Podczas wojny światowej dowodził 10-tą brygadą górską i 63-cią brygadą piechoty. W 1918 r. objął obowiązki przewodniczącego węgierskiej komisji dla zawieszenia broni. W Lidze Narodów zastępował interesy Węgier w latach 1923—1925. *Atlantic-Photo.*

Z WĘDKĄ NA POTWORY MORSKIE.

Łowiectwo ryb wielkich i polowanie na potwory głębin w ich podmorskich pieleszach wciąż jeszcze jest w powijakach. Obfituje ono bowiem w zbyt wielkie niebezpieczeństwa i może być przywilejem nielicznych szczęśliwców, hojnie wyposażonych w mamonę. Studjując literaturę połowów morskich na wielką skalę, poznaje się, że pod względem dzikości i okrucieństwa osiągają po-



Najsławniejszy na świecie łowca potworów morskich Anglik Hedges, ze złowioną na wędkę rybą w centralnej Ameryce.

twory głębin rekord światowy, np. takie rekiny zwane tygrysami morza, potworne piły, żarłoczne barakudy lub tarpony.

Znany podróżnik angielski Mitchell Hedges — który połowę życia spędził w niezmierzonych przestrzeniach oceanów i setki razy znajdował się w niebezpieczeństwach przy połowach ryb olbrzymów — opowiada nam swe przeżycia, przy czytaniu których często przejmuje nas dreszcz trwogi.

Ten najdoświadczeńszy rybak świata zastawiał swoje ogromne 14-funtowe wędy i sieci u wybrzeży Oceanu Spokojnego — poczynając od zatoki Kalifornijskiej, aż do Kolumbji, na morzu Karaibskiem, na wodach Jamajki, Kolumbji i Panamy.

Z opowiadań jego zasługuje na uwagę walka na śmierć i życie, którą stoczył z rekinem, a to z tego względu, że był to okaz najpotężniejszy i najokrutniejszy, z jakim kiedykolwiek miał do czynienia. Oto jego opowiadanie:

„Zdecydowałem się ostatecznie opuścić Black River i wyruszyć na Panamę, gdyż walki z olbrzymiemi rybami i upał tropikalny odbiły się na mojem zdrowiu. Podczas gorączkowej roboty przy pakowaniu, otrzymałem z Kingston depeszę z zawiadomieniem o tragicznym wypadku, który tam zaszedł, a mianowicie, że rekin odgryzł nogę jakiejś dziewczynie, kiedy stała w wodzie; następnego dnia nadeszła druga depesza, że nieszczęśliwa miss zmarła w szpitalu.

Potem spadł na mnie deszcz depesz z prośbami, bym natychmiast przybył do Kingston i uwolnił port od potwora zagrażającego wszystkim kąpiącym się niedaleko brzegu.

Podróż do Kingston i przygotowania do walki.

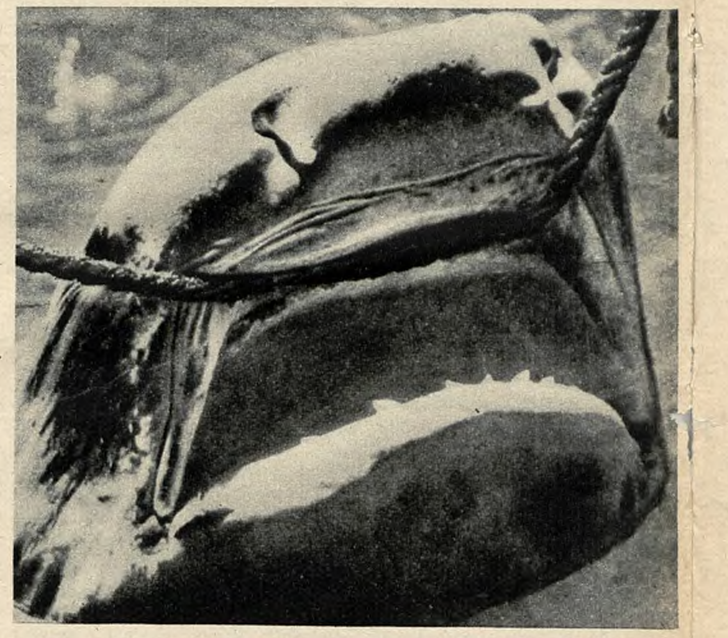
Opuściłem Black River z uczuciem szczerego żalu. Całe miasteczko mnie żegnało, a na każdej stacji ku niepomiernemu memu zdumieniu zastawałem tłumy zebrane, by mi życzyć powodzenia w łowach. Mój wierny towarzysz Griffits nie opuścił mnie i w tej potrzebie. W May Pen dostałem poranny numer gazety z dokładnym opisem wypadku. Była tam notatka, że specjalnie przybywam z Blacke River w nadziei złowienia potwora.

Przyznam się, że ja stary praktyk połowów, miałem tremę, gdy pociąg zajeżdżał na stację w Kingston i zobaczyłem ogromny tłum czekający na mnie. Zaledwo kapitan portu i inspektor Rządu z pomocą paru policjantów utorowali nam drogę do auta.

Na brzegu, gdzie zdarzył się wypadek, roiło się od ludzi.

Opowiedziano mi z detalami, jak się to właśnie stało.

Miss Adelina Lopez kąpała się z małym chłopcem blisko portu w niewielkiej odległości od lądu; w chwili wypadku stała ona spokojnie w wodzie. Ojciec jej i kilka innych osób znajdowali się na brzegu. Nagle Miss Lopez krzyknęła przeraźliwie: Ojcze! ojcze! Zrozumiawszy, że grozi jej jakieś niebezpieczeństwo, Mr. Lopez rzucił się do wody i wyciągnąwszy swą córkę, przekonał się ze zgrozą, że brak jej prawej nogi, kompletnie odciętej równo jak brzytwą u pachwiny. Trzech lekarzy przybyło natychmiast, ale ich wysiłki były daremne, bo dziewczyna nie przeżyła nawet doby. Rekin nie napadł



Holowanie potwora morskiego do brzegu...

na szczęście chłopczyka, który stracił niemal przytomność ze strachu.

Zawsze byłem zdania, że osoba stojąca w wodzie albo pływająca nieruchomo jest narażona na większe niebezpieczeństwo od płynącej; znam bowiem fakty, że nawet wielkie rekiny podpływają na sam brzeg do nieruchomych przedmiotów.

Natychmiast zabrałem się do pracy przygotowawczej; w pierwszym rzędzie musiałem schwytać jakąś większą rybę jako przynętę dla rekina. Odjechałem na łodzi i w pewnej odległości od wybrzeża zarzuciłem odpowiednią wędkę; po pewnym czasie zahaczyłem jakąś większą rybę i podciągnąłem na wierzch burty — gdy z łoskotem rzucił się rekin z otwartą jak wrota paszczą w górę i nietylko porwał mi rybę, ale przegryzł gruby drut u haka, jakby to był zwykły sznurek. Co za odwaga, co za żarłoczność. Ochłonąwszy z przerażenia, skonstatowałem dwie rzeczy: Po pierwsze znajdowałem się oko w oko ze śmiercią, a po drugie był to niechybnie rekin, którego złowić zamierzałem.

Zapasy z lewjatanem, z których wychodzę zwycięzcą.

Zdobywszy 70-funtową przynętę, wyjechaliśmy z Griffitsem i kilku miejscowymi rybakami dnia następnego dalej wgłąb morza i wyszukawszy odpowiednie miejsce, zakotwiczyliśmy jacht, poczem nabiwszy przynętę na ciężką wędę, zarzuciliśmy ją w głębię...

Minuty mijały w niemem oczekiwaniu...

Wkońcu zaczęliśmy się niepokoić i denerwować. Nagle o 50 czy 60 jardów od dzióba, dwa wielkie szczupaki morskie zaczęły pruć powierzchnię w sposób właściwy tym rybom. Posuwają się w nader ekscentryczny sposób. Pędzą one na ogonach w ciągłych podskokach tak, że reszta ciała z wody wystaje. Śladem ich, tnąc powierzchnię z szybkością niesłychaną, mknęły czarne, wielkie pletwy olbrzymiego rekina.

— A to olbrzym — zawołałem. — Waży napewno ponad 1.000 funtów. Musi być silny, jak parowóz.

Widowisko nagle zniknęło pod wodą. Po jakimś czasie coś połknęło mój hak z przynętą i zaczęło się oddalać od jachtu, wobec czego lina od wędy, której było 300 jardów leżących w zwojach na pokładzie, zaczęła szybko wybiegać. Nie wiedziałem co robić. Porywać się z naszemi siłami na zatrzymanie liny, byłoby wprost śmieszne. W mgnieniu oka zostalibyśmy wciągnięci w morze. Pozostawało tylko czekać, aż się kolos wyczerpie.

Z szarpnięciem okrutnem wyprężyła się wreszcie cała lina na wale windy kotwicznej z taką siłą, że jacht powoli podciągnął się naprzód; łańcuch kotwiczny u dzióba naprężył się straszliwie, wskutek czego kotwica została wyrwana z dna przez niesamowitą siłę i statek zaczął sunąć za holującą go rybą. Teraz wszyscy razem ujęliśmy za linę, ciągnąc co sił do siebie olbrzymią masę, jednak ani rusz jej zatrzymać... Nagle ryba, która płynęła od jachtu, zawróciła ku jachtowi i zaczęła próbować wszelkich forteli, na jakie tylko może się zdobyć mieszkaniec głębi: nurkowała, krążyła, rzucała się na prawo, na lewo, płynęła wprost ku jachtowi i mijała go, opływała dokoła, a raz, czy dwa błyskawicznie dała nurka pod kil. Z godzinę czasu tak szalała, nie zdradzając wyczerpania. My tymczasem ściągając ją ciągle, musieliśmy stosować wszelkie środki, aby nam się nie urwała w ostatniej chwili.

W pewnym momencie ogon rekina obwinął się dokoła rufy, a pletwy zaczęły tłuc wodę w sposób przerażający. Jednym skokiem znalazłem się przy dziobie, ale nic przedsięwziąć nie mogłem; tymczasem jacht dygotał febrycznie, jak pod działaniem potężnego propellera.

Tytaniczną bez przesady walkę stoczył potwór z nami. Co za siły! Dopiero będąc świadkiem tak wielkiej szarpaniny ryby — można zdać sobie sprawę, jak słaby jest człowiek w porównaniu z podobnym drapieżnikiem Jego cielsko w kształcie torpedy, cała jego budowa ma na celu tylko siłę i szybkość; słusznie nosi przezwisko lewjatana głębi.

Po upływie 3 godzin uczuliśmy, że nasza zdobycz słabnie. Z natężeniem wszystkich sił zaczęliśmy ją ściągać; zbliżała się do jachtu jard po jardzie. Na końcu liny ukazał się wreszcie najohydniejszy rekin, jakiego widziałem w życiu. Wpakowałem potworowi kilka kul eksplodujących w nasadę głowy i legł u burty jak długi, słabo trzepiąc ogonem...

Aby dać wyobrażenie, jak mocne miał szczęki, przytoczę fakt, że przy wyciąganiu z paszczy haka, szczęki mu się zwarły konwulsyjnie i dwuwąsy koniec haka wżarł się tak głęboko w stal trzpienia, jakby weń został wbity młotem.

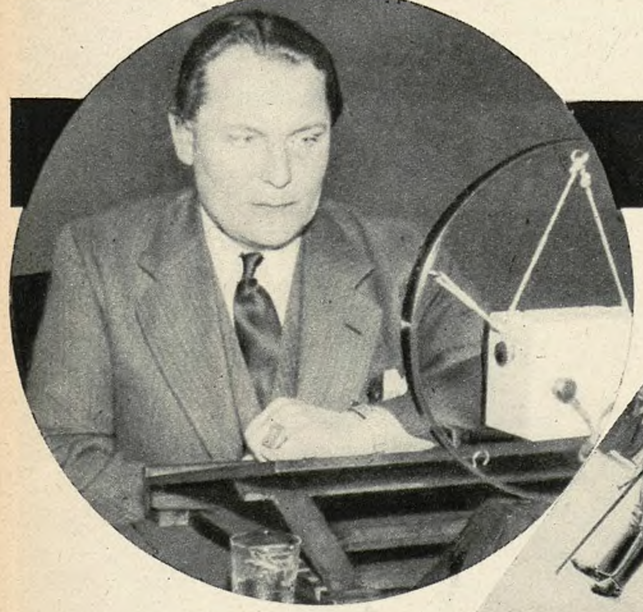
Umocowawszy dobrze linę z rekinem, odpoczywaliśmy długo przed holowaniem go do brzegu".

I. W.



TANIEC WE TRÓJKĘ. W Anglji i Czechosłowacji staje się modny taniec we trójkę (na zdjęciu), który polega na tem, że jeden mężczyzna tańczy równocześnie z dwiema danserkami. Inowacja ta ma na celu zapobiec pietruszkowaniu ze strony pań, które zawsze zarówno na salach balowych, jak i na dancingach jawią się liczniej, niż mężczyźni. Czy taniec ten przyjmie się w całej Europie, można wątpić. *Wide-World Photos — Paris.*

W PAROKSYZMIE SZAŁU.



Minister Göring, jeden z najwybitniejszych współpracowników Hitlera. W czasie wojny światowej wsławił się jako lotnik, gdyż strącił własnoręcznie 36 aparatów nieprzyjacielskich. Po śmierci Richthoffena stanął na czele jego eskadry myśliwskiej. Za te czyny swoje został nagrodzony orderem „Pour le mérite". Göring jest Bawarczykiem. Uczęszczał do szkoły kadeckiej w Gross-Lichterfelde. W roku 1912 został lejtnantem. Wyruszył w pole z 112-tym pułkiem piechoty, już jednak w jesieni przerzucił się do lotnictwa, jako obserwator. Po wojnie przeniósł się do Danji, jako doradca w sprawach lotniczych, potem zaś do Szwecji, jako szef lotniczy w Svenska Lufttrafik. Powróciwszy do Niemiec w 1922 roku, poznaje się z Hitlerem i współdziała w jego puczu w 1923 r. Ranny w walkach ulicznych, ucieka autem do Tyrolu, a nie czując się bezpiecznie także i w Austrji, przenosi się do Włoch, gdzie nawiązuje stosunki z Mussolinim i studjuje gorliwie faszyzm. W 1927 r. jest znowu w Niemczech. W rok później uzyskuje mandat do Reichstagu. W ubiegłym roku zostaje wybrany prezydentem Reichstagu, a po mianowaniu Hitlera kanclerzem komisarzem dla spraw lotniczych. Charakterystycznem jest, że wybrano go w 36-ciu okręgach.



Dnia 12 b. m. całe Niemcy święciły dzień poległych w wojnie światowej. Na zdjęciu uroczystości w Berlinie. Prezydent Hindenburg w otoczeniu generalicji i członków Rządu, przyjmuje defiladę.

The New York Times.



Nawet dzieci zaprzągnięto w Niemczech w służbę wojującego nacjonalizmu.

R. Sennecke.



Pochód młodzieży hitlerowskiej przez ulice Berlina.

We wszystkich miastach niemieckich snują się po ulicach zbrojne oddziały Hitlerowców. Towarzyszą im tłumy publiczności, które w jakiemś histerycznem uniesieniu wiwatują na cześć swojego nowego wodza: malarza pokojowego Adolfa Hitlera. Pod wpływem jego agitacji dokonała się w Niemczech olbrzymia przemiana, znikły gesty ugodowe, a zjawiła się znowu tak dobrze znana Europie, a specjalnie Polsce, zakuta w stal pięść krzyżacka.

Począwszy od dzieci, a skończywszy na starcach, wszystko nastroiło się na najwyższą nutę.

Odwet wisi w powietrzu. Pierwsze posiedzenie Reichstagu naznaczono w kościele garnizonowym w Poczdamie, gdzie spoczywają zwłoki Fryderyka Wielkiego. U jego trumny mają się zbudzone Niemcy pokrzepić i nabrać sił do nowej walki.

Jeszcze kilka miesięcy, a wszelka opozycja zostanie zgnieciona, w całem państwie zapanuje reżim czysto żołnierski, a cała Rzesza upodobni się do koszar.

Maluczko, a starszy pan w Doorn spakuje swoje kufry i triumfalnie powróci do Berlina, aby przyjąć hołd od swoich poddanych. Europa jest przecież tak potulna...



Centralą komunistów w Berlinie był „Dom Liebknechta". Obecnie władze ten dom skonfiskowały i oddały narodowym socjalistom. Z tego powodu hitlerowcy urządzili burzliwe demonstracje (na zdjęciu) przed gmachem.

Tu my budowali barykadę.



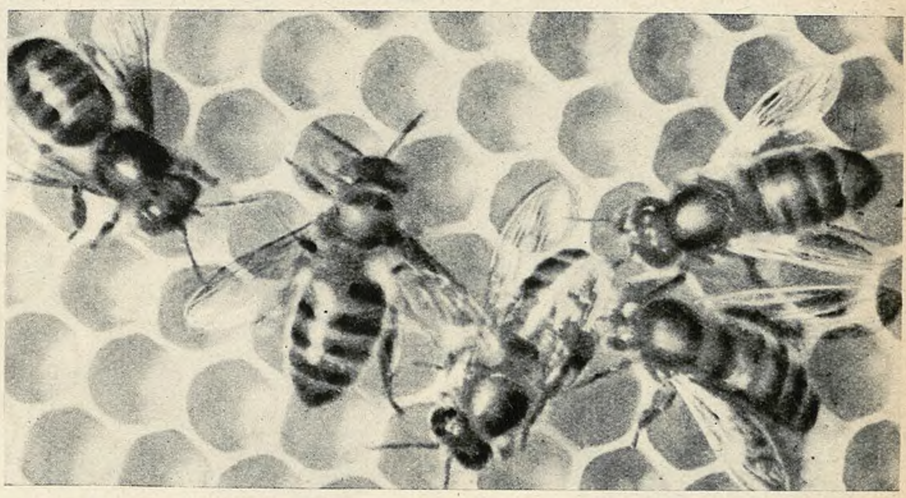
W Rosji sowieckiej rocznice wszystkich rewolucyj i zamachów „na ciemiężycieli ludów", jakie miały miejsce przed 1917 r., są obchodzone bardzo uroczyście. Interesuje się niemi szczególnie młode pokolenie, które już tych czasów nie pamięta, gdyż urodziło się i wzrosło w ustroju bolszewickim. Ci młodzi szturmowcy i komsołmowcy, z zainteresowaniem rozpytują starszych kolegów o to, jak to było w 1905, czy w 1917 r. i słuchają z otwartemi ustami, mocno kolorowanych opowieści o carze, białogwardyjcach i kapitalistach, a także o walkach na ulicach itd. Na zdjęciu stary robotnik z moskiewskiej fabryki tekstylnej „Trekgorni", pokazujący towarzyszom na planie miasta, gdzie w 1905 r. odbywały się barykady rewolucjonistów. *Unionbild — Berlin.*

Kobieta, która pierwsza zdobyła dyplom lekarski.



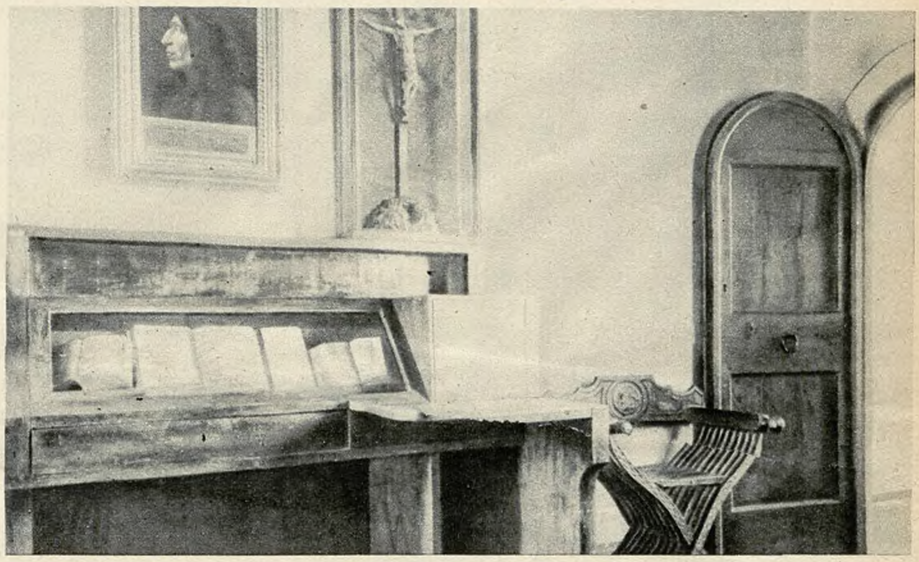
Pierwszą kobietą na świecie, która została dopuszczona do studjowania medycyny na uniwersytecie, była niejaka dr. Matylda Theyessen. Uczęszczała ona na wykłady do Sorbony paryskiej i otrzymała tam dyplom doktorski. Dziś przypomniano sobie o p. Theyessen z okazji ukończenia przez nią 95-go roku życia. Przebywa ona od szeregu lat w klasztorze Littenweiler pod Freiburgiem w Badenji (Niemcy) i cieszy się jeszcze względnie dobrem zdrowiem. Na zdjęciu jubilatka w otoczeniu delegatek fakultetów medycznych, które złożyły jej w imieniu studjujących kobiet gratulacje i kwiaty.

Pszczółki ruszają do pracy.



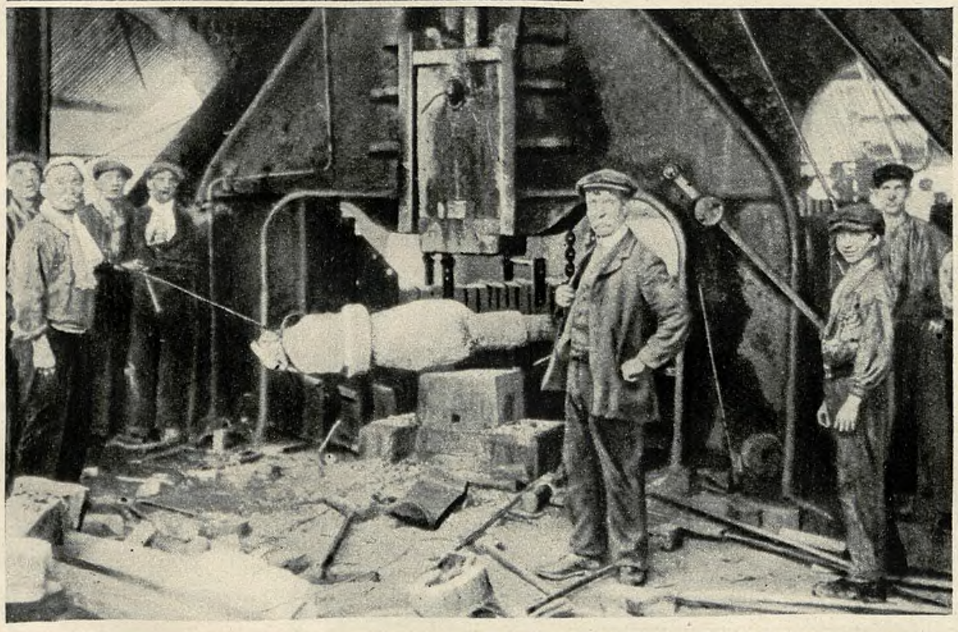
Mniejwięcej z końcem września, albo z początkiem października pszczoły zamykają się w ulu, stosownie do przysłowia: „po św. Idzim, pszczółka pracować się wstydzi", albo „w pole nie wyjdzi". Do nowego życia ul zaczyna się budzić w połowie marca, wyjątkowo czasem i wcześniej, gdy słońce silniej przygrzewa. Wylatują wtedy pszczoły z ula i rozglądają się po okolicy, szukając pożywienia. Na zdjęciu pszczoły po przebudzeniu przy pracy na plastrze miodu. Zdjęcie znacznie powiększone.

Cela największego demagoga Odrodzenia.



Do najbardziej charakterystycznych postaci XV wieku należy we Włoszech Dominikanin Hieronim Savonarola. Urodził się w 1452 r. w Ferrarze. Od r. 1491 rozwinął szeroką działalność we Florencji jako przeor, wygłaszając kazania, w których piorunował na rozluźnienie obyczajów i zwracał się przeciwko Medyceuszom. Po wypędzeniu Medyceuszów, usiłował stworzyć republikę i stanąć na jej czele. Wyklęty przez papieża Aleksandra VI, został uwięziony i spalony na stosie dnia 23 maja 1498 r. Cela, w której mieszkał, dotąd zachowała się w niezmienionym stanie (na zdjęciu) i jest zwiedzana przez turystów, przybywających do Florencji, jako wielka osobliwość tego miasta. *Ag. fot. Światowid.*

Stalowe ramiona, trzymające okręt.



Wnętrze wytwórni kotwic Bakera w Anglji.



Szwajsowanie poszczególnych ogniw łańcucha kotwicznego.

C. Delius — Nice.

Najgłośniejszym na świecie specjalistą w fabrykacji kotwic okrętowych jest Anglik, Baker. Twierdzi on, że najlepsze kotwice i łańcuchy są te, które przed stu laty były robione ręcznie w kuźniach. Odznaczały się one bowiem niesłychaną wytrzymałością i nie pękały tak łatwo, jak fabryczne. Przy sporządzaniu kotwic i ogniw łańcuchowych, trzeba szczególnie uważać na to, aby żelazo po szwajsowaniu nie oziębiło się zbyt szybko. Kotwica wykonana niedbale i z nieodpowiedniego materjału, może się stać powodem katastrofy okrętowej, gdyż odmówi posłuszeństwa, t. zn. urwie się właśnie w chwili, kiedy okręt może być rzucony o skały, względnie porwany na pełne morze. To też wielkie linje okrętowe powierzają wykonanie kotwic tylko starym odpowiedzialnym firmom.

112

TĘTENT KONI SOWIECKICH W AZJI.



Kobieta z dzieckiem z pogranicza Tybetu.



Kawalerja sowiecka z pogranicza Mongolji.



Największych przemian dokonały Sowiety w życiu kobiet mongolskich. Na zdjęciu młoda Ojratka Kochajewa. Kilkuletni pobyt w szkole zmienił zupełnie jej wygląd zewnętrzny i wyzwolił ją z dawnych przesądów.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA AG. „UNIONBILD" — BERLIN.

Od lat półtora dziesiątka tętent sowieckich koni coraz bardziej wypełnia ciszę bezkresnych stepów Azji. Od czasu wielkich pochodów Dżingishana a potem Timur-Lenka stepy te nie rozbrzmiewały tyloma i takiemi głosami, jak teraz. Ale gdy wówczas były to tylko echa szybkich jak błyskawice huraganów, które zerwawszy się gdzieś pod Karakorum, kończyły się w dziejowej nicości gdzieś nad Dnieprem, Dunajem czy zgoła nad Wisłą, to teraz jest to tętent koni, pomięszany ze stukiem tysięcy młotów, które wykuwają nowe formy życia, jakich Azja do tej pory nie widziała, nawet nie przeczuwała.

Budowana z nieporównanem zuchwalstwem wieża bolszewickiego Babilonu, całym swoim frontem zwróciła się ku Azji. Bolszewizm, który dla Europy stał się już tylko coraz bardziej blednącym strachem, w Azji z każdym rokiem nabiera sił, pęcznieje sokami żywotnemi. Od brzegów Oceanu Lodowatego aż po wyżyny Pamiru — całą tę olbrzymią przestrzeń wielu miljonów kilometrów kwadratowych wypełniają budowniczowie i organizatorzy sowieccy coraz gęściej, coraz to śmielszemi planami. Wiele z nich z papierów przechodzi w rzeczywistość, wcielając się w wieczne lody Arktyki syberyjskiej zarówno jak w spalone słońcem stepy i góry Azji środkowej.

Rosja liczy 186 urzędowo uznanych narodowości. Z nich „tylko" jakieś trzydzieści mieszka po tej stronie Uralu, w t. zw. „Europie". Cała ogromna reszta już to siedzi, już to niestrudzenie wędruje po obszarach Azji. Bolszewizm przerabia je na narody w swojem rozumieniu nowoczesnem. Jakutom daje pismo, alfabet i pierwszą gramatykę, Tadzików na południu przerabia na wielkich fabrykantów tekstylnych i metalurgicznych i t. d.

W samym środku bezkresnego stepu dawniej krótko i naiwnie taszkenckim i kirgiskim zwanego nad jeziorem Aralskiem — zbudowano ogromny kombinat najbardziej nowoczesnych kopalń i hut dla metali kolorowych. Tysiące kilometrów kolei i bitych dróg automobilowych wzięto pod budowę. Wiele już wykończono.

Stare sieci irrygacyjne odnowiono i oczyszczono. Więcej niż w dwójnasób powiększono je nowemi. Już dzisiaj Azja Centralna może swoją bawełną zaspokoić wszystkie potrzeby całej ogromnej Rosji. Na stokach gór Tadżikstańskich założono plantacje drzew kauczukowych. Za dwa lub trzy lata zatkają one ostatnią dziurę w tym pasie samowystarczalności, którym bolszewizm otacza swoje państwo.

Nazajutrz po ukończeniu gigantycznej budowli słynnego Dnieprostroju podzielono całą pracującą przy nim kadrę inżynierską i robotniczą na dwie części i jedną rzucono nad Wołgę dolną, gdzie poniżej dawnego Carycyna a dzisiaj Stalingrodu rozpoczęto budowę nowej stacji elektrycznej, drugą zaś przeniesiono aż hen za Bajkał, gdzie wartkie i głębokie wody Angary mają oddawać swą siłę największej na świecie a pierwszej w Azji stacji hydroelektrycznej.

Temu huraganowemu pochodowi techniki nowoczesnej i materjalnej cywilizacji towarzyszy gwałtowna ofenzywa nowych pojęć społecznych i kulturalnych dla zdobycia tych starych, dotąd w śnie głębokim pogrążonych światów. Czadrę — gęstą zasłonę z twarzy kobiet mahometańskich ludów bolszewizm zdarł brutalnie i nieodwołalnie. W obronie tej czarnej, ponurej szmaty polały się strumienie krwi, ale bez skutku. Dzisiaj leży ona zdeptana w gorącym piasku, a kobieta azjatycka napiwszy się raz czary z wolności i równouprawnienia, już sobie tej czary od ust odjąć nie pozwoli.

Lądowa granica między Chinami a Rosją ma około czternastu tysięcy kilometrów długości. Na całej tej olbrzymiej przestrzeni zaczął się intenzywny proces przenikania wzajemnego, którego żadna ofenzywa japońska nie wstrzyma.

Gdy jeszcze kilka lat temu centralny rząd w Pekinie chciał wysłać swemu gubernatorowi w chińskim Turkestanie nowe rozkazy, to karawana najszybszych wielbłądów potrzebowała na to siedmiu miesięcy czasu, a drugie tyle, dla przywiezienia odpowiedzi i raportu od turkestańskiego gubernatora. Dzisiaj komunikacja ta koleją syberyjską i nową turkestańską trwa już tylko sto dni w obie strony. Najszybciej więc, najtaniej i najpewniej dwa krańce Chin porozumiewać się mogą ze sobą przez Rosję.

A wszystko to jest dopiero nieśmiałym początkiem, strojeniem instrumentów zaledwie. Żadna wyobraźnia nie wymaluje obrazu tej nowej rzeczywistości, która będzie mogła wytworzyć się za lat kilkadziesiąt w Azji czerwonej, jeżeli tylko władcy jej dzisiejsi nie zostaną nagle tknięci paraliżem woli i nie popadną w stary słowiański bezwład.

Materjalne, przez samą przyrodę stworzone podstawy dla tej przyszłości niewymiernej są tam takie, jakich niema nigdzie. Dzisiaj sowiety wydobywają w Azji samego czystego złota za 85 miljonów dolarów rocznie. A złoto jest najmniej wartościowym skarbem tych ziem niezmiernych, w dodatku wydrapywanym tylko ciągle jeszcze prymitywnie i jakgdyby tylko w dziecinnej zabawce.

Geologowie obliczyli, że sama Lena odprowadza rok rocznie około trzystu miljonów dolarów piasku szczerozłotego do Oceanu Lodowatego. A przecież to tylko jeden z nic nie znaczących drobiazgów w porównaniu z ogromem skarbów czerwonej Azji zarówno ukrytych, jak leżących na oczach każdego.

Tak, więc nie darmo tak mocno biją kopytami sowieckie konie w spaloną słońcem, lub skutą mrozem azjatycką ziemię. One czują, że tutaj rozsiadła się przyszłość, niewymierna w ogromie, nieobliczalna w bogactwie, jeżeli tylko tchu starczy zarówno koniom, jak jeźdźcom. **Tom.**



Ćwiczenie rekrutów jakuckich.

MARINETTI GOŚCIEM POLSKI!



W Warszawie bawi twórca futuryzmu Marinetti (po lewej) w towarzystwie ambasadora włoskiego w Polsce Bastanini'ego.

Filip Tomasz Marinetti ma lat 55, ale temperament młodzieńczy utrzymuje go w stanie tego samego rewolucyjnego i buntowniczego fermentu, jak w owej pamiętnej epoce przedwojennej, w której zyskał sobie miano „kofeiny Europy". Był to czas od roku 1909—1915, kiedy program artystyczny futuryzmu włoskiego, głosiły manifesty, gloryfikujące miłość niebezpieczeństwa, szybkość, maszynę, likwidujące W e n e c j ę, „kloakę paseizmu" i „blask księżyca". Program polityczny futuryzmu (futuryzm był wtedy również partją polityczną), głosił a n t y k l e r y k a l i z m, stuprocentowy patrjotyzm, ż ą d z ę w o j n y i nienawiść do Austrji.

Urodzony z rodziców włoskich w Egipcie, wychowany we Francji, promowany w Sorbonie, zamieszkały we Włoszech, podróżujący po świecie, nosi ze sobą Marinetti siłę i ruchliwość rasy włoskiej, słoneczną afrykańską żywiołość, francuskie przerafinowanie sztuką i twórczą nostalgję wiecznego wędrowca. Napisał przeszło 60 tomów powieści, poezyj, dramatów, nowel i manifestów. Tłumaczony jest na kilkanaście języków. Pierwszy on w swoim manifeście z 1909 r. odrzucał całą przeszłość, głosił nienawiść do kultury i arcydzieł ubiegłych wieków, oraz wzywał artystów do ukochania gorączkowego tempa życia współczesnego i wszystkich rzeczy nowych. Jest niewyczerpaną kopalnią pomysłów. W poezji stworzył t. zw. „słowa wolne", zapomocą których — jak twierdzi — osiąga się „liryzm telegraficzny, nieopóźniony układaniem zdania, ozdabianiem przymiotnikowem i odwlekaniem interpunkcyjnem". Wpływ jego na sztukę światową jest doniosły i niezaprzeczony. On pierwszy natchnął artystów i pisarzy śmiałością w dążeniu do nowości i bezkompromisowością w stosowaniu nowych form wyrazu. We Włoszech założył całą szkołę, a pod jego wpływem znajdowali się przez pewien czas najwybitniejsi pisarze włoscy, że wspomnimy tylko Papiniego, który nawet pisał w swym okresie futurystycznym wiersze. Dzisiaj wiersze futurystów włoskich weszły już do podręczników szkolnych (Marinetti, Palazzeschi, Govoni, Buzzi). Tak rozpłynął się gest Marinetti'ego, tak przeminęły jego wartości napastnicze, chociaż pozostały jego przełomowe i mocne intencje.

Przed dziesięciu laty poznałem ojca futuryzmu w Piccola Marina na Capri. Z uszanowaniem patrzyłem na jego wyniosłą postać. Ścisnąłem jego rękę jak chorągiew. Tym wszystkim, którzy nie zdają sobie sprawy z doniosłej roli, jaką Marinetti odegrał w całej współczesnej sztuce światowej, podaję do wiadomości uproszczone stwierdzenie faktu: — wszystkie nowoczesne style, tak w literaturze, jak i w plastyce i w architekturze biorą swój początek w epokowym geście Marinetti'ego.

Świetny mówca i recytator. Podczas pobytu w Polsce wygłosił kilka odczytów. Nienaganna francuszczyzna doktora paryskiej Sorbony piętrzyła się jak potok górski przed tłumnie zebraną publicznością. Marinetti przemawia głosem i ruchami; rozwija skoncentrowany atak dialektyki, którą porywa i entuzjazmuje ludzi. Niema dziedziny sztuki, którejby nie poruszył. Mówi o dynamizmie plastycznym, o liryce taktylistycznej, o dramacie syntetycznym, o wrażliwości liczbowej, o uroku geometrycznym, a kończy apoteozą „aeromalarstwa", „aeropoezji" i gloryfikacją awangard europejskich.

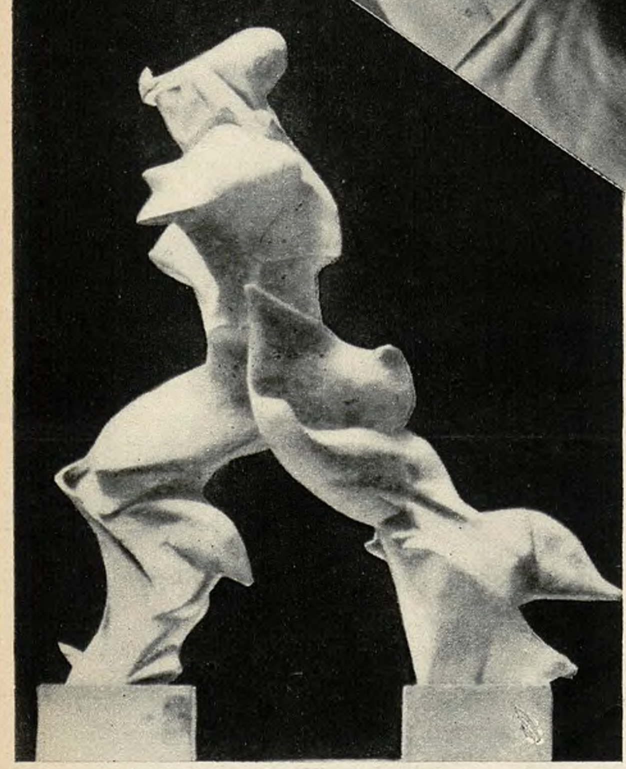
Poza Marinettim-artystą, należy widzieć w tym człowieku entuzjastę wszechwłoskości. Futuryzm jest również wielkim frontem narodowym włoskim. Z niego powstał podczas wojny faszyzm. Marinetti pierwszy sprowokował i podburzył ambicję Włoch; otworzył jej horyzonty nowych, gwałtownych zmian; on to obłąkał serca swych rodaków cudowną wizją swej ojczyzny, on pierwszy wmówił w nich, że „półwysep nasz, synteza wszystkich piękności świata napęczniały genjuszem twórczym, ma prawo panować nad globem ziemskim":

Z rzeszy jego wyznawcy wysunął się jeden, niski, krępy, o twarzy kwadratowej, syn kowala, o nazwisku również zaczynającem się na „M" i kończącem się na „i", pracujący podówczas w redakcji socjalistycznego „Avanti" i powiedział sobie, że takie Włochy musi stworzyć. Należy i to stwierdzić, że ten syn kowala, w którego cieniu tworzy się h i s t o r j a Włoch, wziął swe zasadnicze koncepcje z programu futuryzmu.

Jalu Kurek.



Znak bojowy futurystów.



„Przechodzień", charakterystyczna rzeźba w stylu futurystycznym Boccioni'ego.



FUTURISMO

Il Futurismo, religione di orgoglio italiano, velocità, originalità, eroismo, amore del pericolo, ottimismo artificiale, sport e forza muscolare, guerra, pugno-argomento, arte-vita, splendore geometrico, estetica della macchina, parole in libertà, dinamismo plastico, architettura pura, teatro sintetico simultaneo, vita simultanea, tattilismo, arte dei rumori, nacque nel febbraio 1909 a Milano e rinnovò il mondo. Il Futurismo, minoranza di artisti creatori, esige qualità non quantità, pochi ma originali. Ogni città contiene ingegni audaci. Bisogna riunirli in gruppo, e rispettando la loro indipendenza, costringerli ad un minimo di solidarietà novatrice. Essenziale, la passione per l'Italia e per il nuovo. Il Futurismo, movimento ideologico artistico letterario scientifico, interviene nella politica soltanto quando la Patria pericola. I Futuristi, uniti da questa vigilanza e pronti a tutto, an-

MOVIMENTO FUTURISTA diretto da F. T. MARINETTI Piazza Adriana, 30 ROMA

Caro Kurek

List Marinetti'ego z wyznaniem wiary futuryzmu, pisany do literata polskiego Jalu Kurka.

EDIZIONI „POL." ROMA

EDIZIONI „POL." ROMA



„Motorówka na morzu", obraz malarki Benedekty, żony Marinetti'ego.

WYŚCIG PRACY W POWIECIE PŁOCKIM.
(BEZ PIENIĘDZY BUDUJE SIĘ DROGI I REGULUJE RZEKI).

Przed wieloma nawskróś rolniczemi powiatami rozwarła się otchłań niemocy, gdyż zła płatność podatków naprowadza przed oczy kierowników widmo wydatnego zmniejszenia się robót użyteczności publicznej przy jednoczesnem wzrastaniu innych potrzeb. Do takich należał powiat Płocki; drogi bowiem damagały się uporządkowania; rzeka Sierpienica uregulowania; około 35 kilometrów niskiego wybrzeża Wisły od Borowiczek do Wyszogrodu — obwałowania.

Skąd na to wziąć pieniędzy? A bez pieniędzy przecież nic zrobić nie można. Trzeba zrezygnować z uczestnictwa w „wyścigu pracy".

Na szczęście do tego nie doszło.

Niedawno mianowany nowy starosta p. A. Klotz sięgnął w tym wypadku do źródła swych doświadczeń administracyjnych i wydobył z niego atut niemały.

W czerwcu 1932 r. już zdawało się, że trzeba będzie zaprzestać *z braku środków finansowych wszelkich robót w powiecie*, a w sierpniu tegoż roku 1932 ruszono znowu do „wyścigu pracy" i to w rozmiarach i w tempie zupełnie normalnych.

Jak się to stało?

Oto, idąc po linji prób zastąpienia podatków samorządowych świadczeniami w naturze, wprowadzono unowocześniony i zreformowany „szarwark powszechny", polegający na zamianie odpowiednich podatków i wymiarze na jednostki w stosunku do opłacanych podatków.

Szarwark ten podzielono na wykonanie trzech zasadniczych rodzajów robót: regulacji rzeczek, obwałowania Wisły i drogowych.

Dnia 27. VIII. 1932 r. po uroczystem poświęceniu i pobłogosławieniu początku robót „pierwszą łopatę ziemi" z terenu przeznaczonego na uregulowane już koryto rz. Sierpienicy odrzucił starosta Klotz, a za nim „drugą" miejscowy ksiądz proboszcz dokonywujący poświęcenia.

Praca nad regulacją rz. Sierpienicy w powiecie Płockim na przestrzeni około 38 km. przewidziana jest na lat 5.

Powierzchnia gruntów znajdujących się w bezpośrednim zalewie i podtopionych wynosi 6140 ha z ogólnej ilości 21743 ha gruntów wchodzących w strefę zlewni rzeki. Można sobie na podstawie powyższych danych wyobrazić jakiem dobrodziejstwem dla ludności będzie osuszenie tego obszaru, wiecznie podmiękłych i zalewanych terenów. To też ludność chętnie niesie te świadczenia z pełnem zrozumieniem własnego interesu.

W r. 1932 wykończono część tego dzieła, które uwidocznione jest na zamieszczonych obok ilustracjach.

Co do budowy dróg to nakreślono program również bardzo szeroki. Drogi te będą w przeważnej swej części żwirowane, to jest tak zbudowane, aby w dobrej konjunkturze łatwo można je było zamienić na szosy. Miejscami będzie kładziony bruk.

W najbliższym nadchodzącym sezonie wiosna — lato — jesień 1933 r. ma być wybrukowanych i ożwirowanych ogółem około 25 km. bieżtych dróg.

Nad planem obwałowania brzegu Wisły w części nizinnej powiatu biuro techiczne Wydziału Powiatowego pracuje przez całą zimę, przygotowując plany i pomiary. Robota rozpocznie się na wiosnę r. b. Ogółem ma być obwałowane 35 km. nizinnego brzegu od Cukrowni Borowiczki do m. Wyszogrodu. Całość dzieła rozłożona będzie również na lat kilka, a jego znaczenie pojmiemy dobrze dopiero wtedy, gdy uświadomimy sobie, że w czasie wielkiej powodzi w 1924 r. jechało się po zalanych obszarach statkiem parowym na kilka kilometrów wgłąb lądu.

Takie tedy nader poważne i kosztowne prace, w wyniku których osusza się lub zabezpiecza wiele hektarów ziemi, zamierza się wykonać w jednym tylko powiecie Płockim w ciągu kilku lat i to bez pieniędzy, jako jeden ze zwykłych codziennych etapów „wyścigu pracy", podczas gdy naprzykład po osuszenia blisko 10.000 ha bagien pod Rzymem, Włochy kazały ten swój wysiłek podziwiać całemu światu.



Rzeka Sierpienica w powiecie płockim przed uregulowaniem (lato 1932).
ZDJĘCIA MODLIŃSKI — PŁOCK.



Rzeka Sierpienica po uregulowaniu, pod wsią Gołocin. Kosztowne te roboty regulacyjne wykonano w ciągu pół roku sposobem szarwarkowym.

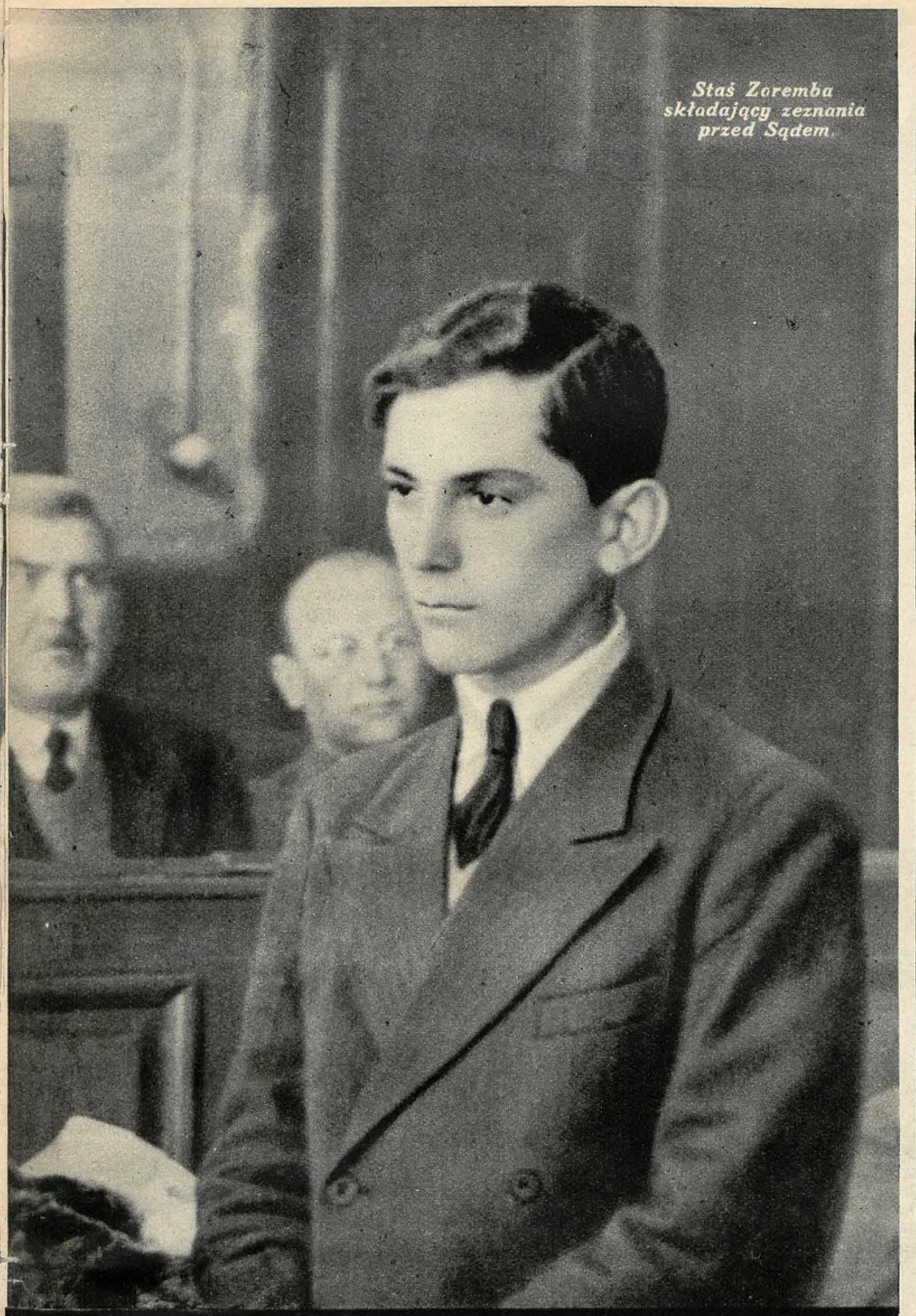


Dnia 27. sierpnia 1932 wyrzucono pierwszą łopatę ziemi z terenu, przeznaczonego na uregulowanie rzeki Sierpienicy. Dziś rzeka ta płynie nowocześnie uregulowanym korytem.



Rzeczoznawcy sądowi. Od prawej: dr. Olbrycht, dr. Jankowski i dr. Zieliński.

Gorgonowa na ławie oskarżonych. Ława ta jest oznaczona znakiem inwentaryzacyjnym: S. O. K. XIII. 13. Feralne te cyfry widnieją wyryte tuż obok oskarżonej. Pierwszy od lewej prof. dr. Jankowski, psychjatra; obok dr. Woźniakowski, dr. Ettinger i dr. Axer, obrońcy R. Gorgonowej; na prawo od nich dr. Przytulski i dr. Szypuła, prokuratorzy. W tyle plan willi w Brzuchowicach, w której została zamordowana śp. Lusia Zarembianka.



Staś Zaremba składający zeznania przed Sądem.

Świadkowie, którzy zeznawali.



Ogrodnik Kamiński. Obrona sprzeciwiła się jego zaprzysiężeniu, jako podejrzanemu o zamordowanie śp. Lusi.



Kamińska, żona ogrodnika, w czasie przesłuchania dwukrotnie zasłabła.



Architekt Zaremba (po prawej) i dr. Csala w kuluarach sądowych.

Sierżant żandarmerji Trela, składa przysięgę przed Sądem.

ZDJĘCIA AG. FOT. „ŚWIATOWID".

S. O. K. XIII. 13.

Przybytki sprawiedliwości są przeważnie ponure. Ale ten przy ul. Poselskiej w Krakowie, w którym toczy się proces Gorgonowej, jest specjalnie ponury. Ulica ciemna, fatalnie brukowana, korytarze mroczne, ściany ponure. Znać, że stąd już krok tylko do więzienia, albo na szafot.

Jest godzina 9-ta rano. Przed bramą wejściową stoją grupki ludzi. Radziby wejść do Sądu, ale gęsto rozstawione posterunki na schodach i na korytarzu nie puszczają nikogo bez legitymacji i specjalnych biletów, które zostały wydane tylko w ograniczonej ilości. Jako dziennikarz bez trudu omijam te wszystkie Scylle i Harybdy i dostają się na korytarz, graniczący bezpośrednio z salą rozpraw.

Wtej chwili robi się ruch.

— Gorgonowa, idzie szept wśród dziennikarzy, licznie tu zgromadzonych. Niektórzy z nich zdołali się już tu formalnie zadomowić, znają każdy kąt i orjentują się doskonale w całej rozprawie, znają wszystkich świadków osobiście i nieraz już nawet rozmawiali z samą Gorgonową.

Ale oto ona. Idzie w towarzystwie posterunkowego krokiem spokojnym. Jest więcej, niż średniego wzrostu. Raczej wysoka. Szczupła, ale nie za chuda. Twarz ściągła, o stanowczym wyrazie. Oczy ciemne patrzą bez obawy każdemu w twarz. Usta ściśnięte, wąskie, charakterystyczne dla ludzi upartych. Włosy krucze. gładko zaczesane, i jakby przylepione do głowy.

Czy jest ładna? Nie trzeba zapominać, że Gorgonowa ma 34 lat i że jest Jugosłowianką a raczej Kroatką, czyli córą Południa, gdzie kobiety starzeją się znacznie szybciej, aniżeli u nas. Mimo jednak swoich 34 lat, Gorgonowa trzyma się doskonale i zachowała ślady dawnej, nieprzeciętnej urody. Oczywiście wiek i czternastomiesięczny pobyt w więzieniu, oraz tragiczne przejścia w Brzuchowicach zrobiły swoje.

Najładniej wygląda Gorgonowa, gdy uśmiecha się. Bajką jest także, jakoby przypominała jędzę.

Gorgonowa wchodzi na salę rozpraw, siada na ławie oskarżonych. Zwykła, prosta to drewniana ława, długa na kilka metrów. Na wprost niej znajduje się ława przysięgłych, poza nią stanowiska obrońców i prokuratora, po lewej Trybunał a po prawej loża dziennikarska i trybuny dla publiczności. Sala naogół jest nieduża, bardzo wysoka i nieakustyczna. Trzeba dobrze nastawiać uszów, żeby coś usłyszeć.

Gdy tak rozglądam się po sali, wzrok mój pada na Gorgonową a po chwili na ławę. Widnieje na jej krawężniku fatalna cyfra a raczej znak inwentaryzacyjny: S, O, K. XIII. 13., znaczy to zapewne: Krakowski Sąd Okręgowy, numer inwentarza 13, rok 1913.

W każdym razie wygląda to bardzo złowieszczo -- dwie trzynastki na ławie. Fatalny prognostyk dla przesądnych.

Tymczesem chodzą się dramatis personea. Jest już prokurator dr. Szypuła, człowiek młody i czupurny. Są dr. Woźniakowski i Ettinger, obrońcy oskarżonej. Stanowią jakby dwa przeciwieństwa. Dr. Woźniakowski okazały i wysoki mężczyzna a dr. Ettinger szczupły i mały.

Na ławie przysięgłych sami ludzie powyżej 50-ki. W ich rękach spoczywa los Gorgonowej. Mają bowiem odpowiedzieć, czy winna? Dlatego słuchają pilnie a na twarzach ich widnieje głęboka troska i powaga.

Ale oto rozlega się dzwonek. Wszyscy wstają. Na salę wchodzi Trybunał. Dwóch sędziów i przewodniczący dr. Jendl. Na jego piersiach widnieje orzeł państwowy na złotym łańcuchu.

Przewodniczący dr. Jendl otwiera rozprawę. Z właściwą sobie rutyną, zaczyna oskarżonej zadawać pytania. Widać, że cały materjał dowodowy z pierwszego lwowskiego procesu ma w małym palcu. Najmniejsze różnice w zeznaniach wyłapuje natychmiast. Jest przytem wyrozumiały, jak ojciec, i uprzedzająco grzeczny. Nie da się wyprowadzić z równowagi, ani przez obrońców, ani przez oskarżoną, ani przez świadków.

Oskarżona zeznaje stojąco. Wpatrzyło się w nią całe audytorjum. Wśród grobowej ciszy, padają jej słowa. Nietylko ja, ale wszyscy obecni na sali starają się ją przeniknąć do głębi. Ona czuje spojrzenia, ale jest nadpodziw opanowana. Bo proszę tylko pomyśleć: przez 14 miesięcy być indagowanym, przesłuchiwanym i badanym i nie załamać się, nie poplątać w zeznaniach, to sztuka nad sztukami. Albo więc niewinna, albo kuta na cztery nogi. O tej winie a raczej dowodach winy, mówi się teraz powszechnie w całym kraju, bo proces wszystkich interesuje, jako niesłychana zagadka kryminalna i psychologiczna i jako dramat o pokładzie erotycznym.

Ustalmy więc stan faktyczny. Jest dziesiątki poszlak, że śp. Lusię zabiła Gorgonowa, ale nie ma ani jednego dowodu. Niezbitego, nieodpartego dowodu. Oskarżona się nie przyznaje. Trzeba więc jej zbrodnię udowodnić. Bez dowodów bowiem, nie wolno nikogo skazywać, zwłaszcza, że jak doświadczenie uczy, niejeden już człowiek powędrował na szubienicę, zupełnie niewinnie. Dość przypomnieć sprawę nieszczęsnego Jakubowskiego, którego sądy niemieckie w trzech instancjach skazały na karę śmierci, za zamordowanie dziecka i oddały pod topór katowski a po kilku latach okazało się, że zbrodnię popełnił kto inny i że stracono człowieka niewinnego.

W wypadku Gorgonowej, obrońcy mają ciężkie zadanie. Muszą bowiem walczyć z sugestją, która opanowała umysły, zwłaszcza kobiet. Kobiety są przeciwko Gorgonowej. Mężczyźni za nią. Choć właściwie powinno być przeciwnie. Wszak przed sądem stoi kobieta, która jeżeli popełniła zbrodnię, to dlatego, że mężczyzna, którego kochała, któremu poświęciła swoje najładniejsze lata, z którym miała dwoje nieślubnych dzieci, raptem chciał ją odepchnąć od siebie i zostawić na bruku. Nic dziwnego, że dusza jej zaczęła się buntować, a w umyśle rodzić plan zemsty.

Kobiety jednak mimo wszystko, nie tają swej nieżyczliwości dla oskarżonej. Biją ostentacyjne brawo, gdy wina jej wychodzi na jaw.

Około 12-tej przewodniczący zarządza pauzę. Robi się ruch i rozgwar. Oskarżona siada zrezygnowana na swojej ławie. Patrzę na nią ze współczuciem. Proces bowiem taki, to zaprawdę tortura. Najimtymniejsze szczegóły życia są tu rozpatrywane w pełnem świetle reflektorów. Całe dotychczasowe życie oskarżonej zostało przewertowane i przenicowane. Zagląda się do najskrytszych zakamarków jej duszy, waży każde jej słowo, każe się jej pamiętać najdrobniejsze szczegóły tragicznej nocy. Padają ciągle zapytania: jak, poco, naco, którędy itd. I tak dzień po dniu w kółko.

Wychodzę na korytarz i na pierwszy rzut oka poznaję wśród zebranych charakterystyczną sylwetkę arch. Zaremby i jego syna. Zaremba jest mały, drobny i mocno siwy.

— Jakże się pan architekt czuje? — zaczynam wywiad.

Zaremba macha ręką.

— Żeby to się już raz skończyło.

— Gdzie pan teraz mieszka?

— W Warszawie. Musiałem się przenieść ze Lwowa. Ale rozumie pan, że takie przenosiny bez przygotowania gruntu, to ruina.

— A cóż z willą w Brzuchowicach?

— Chciałem ją sprzedać, ale nie znalazłem kupca. Nikt nie chce tam teraz mieszkać, bo jakaś gazeta wymyśliła bzdurę, że tam straszy.

— Rzeczywiście?

— Ale gdzie tam. Próbowałem nawet wynająć to mieszkanie za darmo, ale gość, który się sprowadził, zaraz potem uciekł.

Rozmowie naszej przysłuchuje się Staś. Wyobrażałem go sobie, jako małego chłopczyka, pętającego się u nóg, a to młodzieniec, jak topola. Ma lat 16. Szczupły, wysportowany. Oczy mu się śmieją do życia. Widać, że wolałby teraz pójść na narty, niż tu ślęczeć w korytarzu sądowym. Chodzi teraz do gimnazjum Giżyckieko w Warszawie. O stan jego umysłu jestem spokojny. Wystarczy bowiem ze Stasiem zamienić dwa słowa, aby poznać, że jest to chłopak inteligentny i najzupełniej normalny.

Już mam wracać na salę, bo słychać dzwonek, gdy spotykam się w przejściu z dr. Olbrychtem, rzeczoznawcą sądowym. On to badał wszystkie ślady krwi i materjały znalezione na miejscu zbrodni. I tak, jak dotąd rzeczy stoją, zdaje się, że od jego ekspertyzy będzie zależał wynik procesu. Ale prof. Olbrycht milczy, jak sfinks, czasem tylko na rozprawie o coś się zapyta, przystąpi do stołu z dowodami rzeczowewi, odwiąże jakiś pakiet, starannie zapieczętowany i głosem obojętnym zada pytanie oskarżonej.

O godz. 2-giej rozprawa skończona. Na mieście witają mnie wrzaskliwe okrzyki: „Nadzwyczajny dodatek, nowe szczegóły z procesu Gorgonowej". Dodatki te są rozchwytywane, przez ciekawą publiczność, którą jeszcze przez dwa tygodnie będzie trzymał w napięciu ten najciekawszy z procesów kryminalnych w ostatniem dziesięcioleciu.

J. L.

WYPRAWA Z KATOWIC PO UŚMIECH I ZDROWIE.

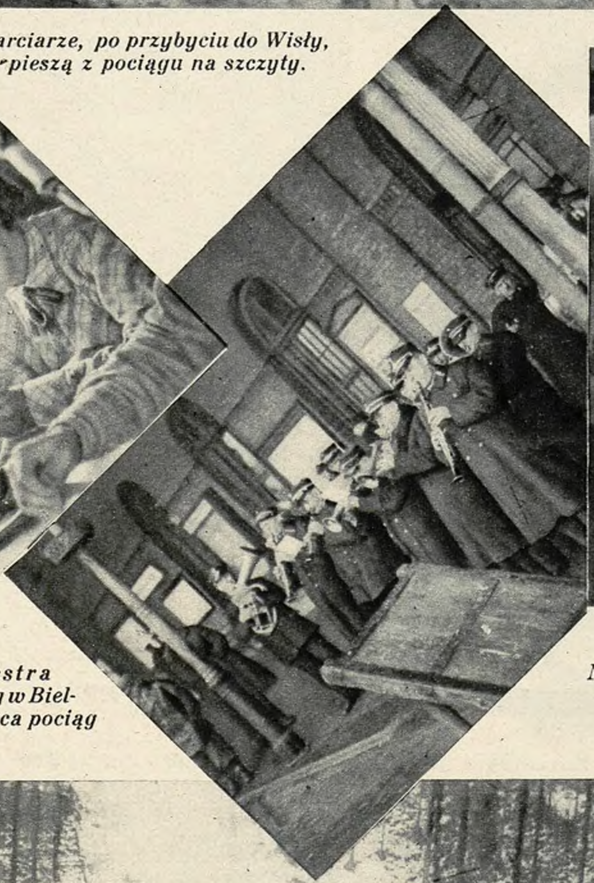
Wspaniały pomysł, realizowany od niedawna, pociągi, „narty — bridż — dancing“ są też pewnego rodzaju potwierdzeniem teorji względności. Bo któż kiedy widział w pociągu napchanym do ostatniego miejsca, buzie roześmiane, radosne, zdrowe, zodowolone?! Pociąg uwożący setki miłych szaleńców! Na tych samych szynach, gdzie tyle innych przejeżdża pociągów z ludźmi spieszącymi, zmartwionymi, goniącymi za interesem, opryskliwymi, gdzie radość jest ledwo tolerowana, bo tak niezwykłym jest gościem, pędzi teraz pociąg, na który dobra wróżka niby urok rzuciła. Wszyscy jego pasażerowie, strojem prawie jednolici, przeważnie w kostjumach narciarskich, niby tajną zawarli umowę: troski, kłopoty i smutki, te niech zostają w domu, a zabieramy tylko uśmiech, radość i beztroskę. A więc i na kolejach żelaznych wiedzie droga do raju i może być miło, wesoło, gwarno, jakby wszyscy zlekka sympatycznego dostali bziczka. A jaka towarzyskość. Nieprawdopodobna wprost na tak liche czasy. Ale doświadczyli jej wszyscy uczestnicy wyprawy do Wisły pociągu Katowice - Wisła, czyli na t. zw. Wiślance. Za 5.80 zł. plus drobne wydatki na miejscu cały dzień beztroskiego świętowania i emocja jazdy wśród licznych niespodzianek i przygód. O niespodzianki dbała D. K. P. Katowice, przeznaczywszy wagon restauracyjny na bufet i dancing, oraz witając gości na każdym postoju orkiestrą kolejową, przygód zaś szukali sobie według własnej fantazji i umiejętności sami uczestnicy. A trzeba dodać, że okazji nie brak było, szczególnie, że śląski pociąg największą dotychczas wykazał frekwencję, uczestników bowiem zebrało się aż 700, miejsca zwiększyć trzeba było o dwa wagony. Ale i niebo, które widać chciało wystawić tę gremjalną radość na próbę, zgotowało wycieczkowiczom niespodziankę, — miast śniegu bowiem, który ostał się tylko na szczytach gór, zesłało deszcz, oj deszcz, który wcale nie myślał ustawać. Jednak, któż przemoże ochotę ludzką? Te trochę deszczu? Nawet uwagi nie zwracano, że o okna pędzącego pociągu tłuczą rzęsiste krople. Jeden chyba nasz fotograf tem się zmartwił, bo to i oświetlenie nie tego i wogóle... Reszta tańczyła, brydżowała, paru (z obowiązku reporterskiego dodaję: bardzo niewielu) ratowało reputację bufetu, śmiechy, żarty, wesołość! Nie do wiary, jaka ta droga do Wisły krótka.



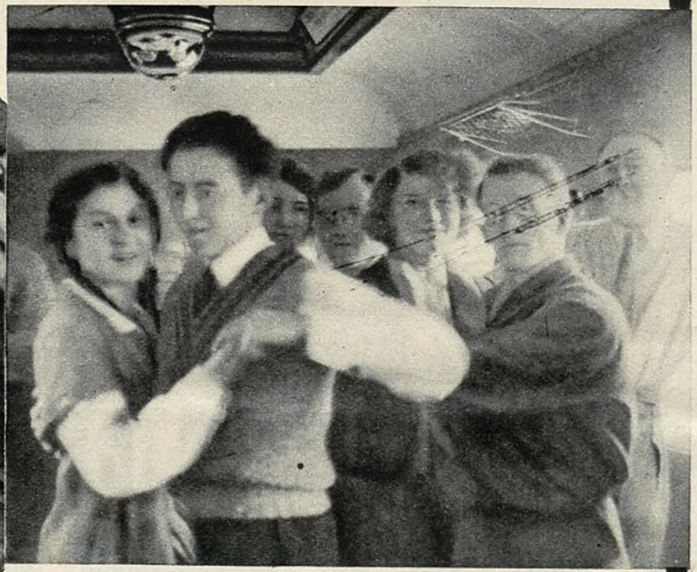
Narciarze, po przybyciu do Wisły, spieszą z pociągu na szczyty.



Przy bridżu w pociągu Katowice— Wisła.



Orkiestra kolejarzy w Bielsku, witająca pociąg turystyczny.



Największe powodzenie miał wagon dancingowy. Przy dźwiękach dobrej orkiestry, tańczono zapamiętale.

Przecież według rozkładu jazda trwać miała... godziny, czyżby już tyle czasu minęło? Doprawdy! a nikt tego nie spostrzegł. Teraz towarzystwo podzieliło się na grupy, z których jedna kuligiem (na kółkach, czyli furmankach) pojechała zwiedzić zamek Prezydenta, druga przyglądała się, lub uczestniczyła w konkursie skoków narciarskich, który odbywał się na... sprowadzonym śniegu. Byli i tacy, co dograć partyjek brydżowych poszli do lokali w Wiśle, lub też zawiązane podczas jazdy znajomości szły dancingować, póki nie pierzchnie urok pierwszego poznania.

Kiedy wybiła godzina powrotu, nie jeden byłby ją cofnął z ochotą, bo zbyt wczesną się zdała, nikt jednak humoru nie tracił. Przeciwnie harmonja się zacieśniła, wszyscy tym wspólnie przeżytym dniem i tyloma wrażeniami byli sobie niby bliżsi. *Cz. Kor.*



Szkoda tylko, że na skoczni w Wiśle (na zdjęciu) padał zamiast śniegu deszcz.

FOT. CZESŁAW KORASZEWSKI — KATOWICE.

Za fotografje i artykuły niezamówione, a nadesłane, bądź przyniesione, redakcja „Światowida“ nie odpowiada.



EWOLUCJE
WIOSENNEGO KAPELUSZA.



Wiosenny model z czarnej crepe satin. Cały przód z białych aksamitnych kwiatów, okrytych delikatną czarną woalką.

Modny „canotier“ z czarnej błyszczącej słomki, przybrany jedwabiem „bayadere“ w czarne zielone i żółte pasy.



Urocza artystka paryska Mlle Arletti w dużym modelu słomkowym, przybranym wstążką białą i orange. Model Suzanne Talbot.
Fot. D'Ora, Paris.



Biały kapelusz z błyszczącej słomki fantazyjnej z modną woalką koronkową czarną bardzo delikatną w deseniu i gatunku. Model Germaine Page.



Fantazyjny toczek z czarnych i czerwonych piór, model Luise Bourbon.

Długotrwałe panowanie maleńkich i płyciutkich kapeluszy musiało sprowadzić silną reakcję, która też dokonuje się oto tej wiosny! Im bardziej fason był spłaszczony, tem więcej teraz pnie się wgórę, a za punkt wyjścia posłużył... fez!

— Turecki fez?!... Dlaczego właśnie on?!...

Trudną byłaby na to konkretna odpowiedź. Przypadek zresztą, czy fantazja wprowadziła go w orbitę tegorocznej mody, uznany już został oficjalnie w Paryżu za podstawowy fason wiosenny, z którego rodzi się z dnia na dzień setki odmian coraz dalszych od swego pierwowzoru.

Modyfikacje fezu stworzyły, jako pierwszą pochodną fasony toczka, bez krezy, dalej małego „canotier“ z rondem, które wykazuje coraz większą skłonność do form kapelusza o dużem rondzie i ten prawdopodobnie zapanuje wszechwładnie w sezonie letnim.

Narazie mamy w dziedzinie kapeluszy ogromną różnorodność.

A więc nosi się jeszcze malutkie fasony ze wstążek, jedwabiu, słomki, piórek lub też z kwiatów. Dla nich nieodzowne są woalki, odmienne już od noszonych w zimie. Zarzuca się je na cały kapelusz, a dzięki owalnemu kształtowi woalki, spływa ona ładnie wokół kapelusza.

Przybraniem kapelusza są kwiaty, pióra, wstążki, jakoteż jedwabie barwne w pasy lub kraty, z których jako „pendant“ nosi się szale różnych wymiarów. Mamy więc nowy rodzaj kompletów. Kapelusz z szalem. Do kostjumów wiosennych jest to nowość bardzo elegancka i efektowna, to też kryje w sobie niebezpieczeństwo wielkiej popularności, która się wkońcu szybko opatrzy i znudzi. Na razie im prędzej któraś z pań uroczą tę nowość zastosuje, tem większe będzie miała szanse dobrego wykorzystania ukazującej się dopiero mody. J. Z.

POD PALMĄ DAKTYLOWĄ ODŻYWA SIĘ NA NOWO...

(LISTY Z MAROKKO).



Charakterystyczna scena z portu w Marsylji. Marynarze w rozmowie z dziewczyną.

W Casablanca.

Wyjechałem z Marsylji przy cudownej pogodzie. Morze rozjskrzone promieniami południowego słońca, było niezmiernie spokojne. Statek nasz prawie bez szelestu przecinał fale wzdłuż wschodniego wybrzeża Hiszpanji — mijając miasteczka i wsie pięknie położone u stóp morza, lub malowniczo ukryte wśród skał. Często spotykaliśmy statki handlowe i rybackie. Po minięciu cieśniny gibraltarskiej, tej bramy zamykającej wejście z Atlantyku do morza Śródziemnego, wpłynęliśmy na wody oceanu. Atlantyk przyjął nas mniej gościnnie. Wzburzone fale przerzucały nasz niewielki stosunkowo statek z grzbietu na grzbiet, tak, że wkrótce nieliczni zresztą pasażerowie zaczęli znikać z pokładu. Pasażerów, jak już wspomniałem, było bardzo niewielu, gdyż oprócz mnie, zaledwie dwanaście osób znajdowało się na statku, nie licząc oczywiście służby i załogi okrętowej. Po trzech dniach podróży zajechaliśmy do Casablanci. — Już z pierwszego wrażenia sądząc, stwierdziłem, że jest to miasto zakrojone na miarę europejską. Ulice szerokie, asfaltowane pulsują ruchem pieszym i samochodowym — wspaniałe gmachy państwowe wznoszą się w śródmieściu, wielkie domy towarowe pięknemi reklamami świetlnemi wabią przechodnia. Po mieście kursują ogromne troleybusy, wśród których mkną luksusowe limuzyny przeważnie marek amerykańskich. Casablaca zastosowuje najnowsze urządzenia, n. p. policjant regulujący ruch stoi na skrzyżowaniu ulic na szklanej płycie umieszczonej w asfalcie i oświetlającej go zielonym światłem. Na innych znowu ulicach widziałem policjanta oświetlonego reflektorami rzuconemi na niego zgóry. Mieszkańców ma Casablanca około 200 tysięcy. Są nimi w przeważającej liczbie Arabowie, resztę stanowią silnie zarabizowani Berberzy i Europejczycy, dość licznie w ostatnich latach się tu osiedlający. Polonja jest nieduża, składa się ze 120 osób skupiających się dookoła konsula polskiego, p. Rogoyskiego. Wśród mieszkańców Casablanci odczuwa się dobrobyt, o czem świadczy chociażby ten drobny szczegół, że na 5 Europejczyków przypada jeden samochód. Wprawdzie kryzys ogólnoświatowy dotarł i do Marokka wpływając na zmniejszenie się dochodów, lecz dochody te są jeszcze dość znaczne i wystarczają na wygodny, a w wielu wypadkach nawet zbytkowny sposób życia. Po zapoznaniu się z rodakami, wybrałem się wraz z nimi na kilka wycieczek. Pierwszym celem naszej podróży był Rabat, do którego prowadzi doskonała asfaltowana szosa wśród gór i wąwozów. Mknęliśmy z zawrotną szybkością, gdyż przestrzeń Casablanca — Rabat wynoszącą 100 klm. przebyliśmy w niecałej godzinie. Oszołomiony tą szaloną jazdą z prawdziwą ulgą spojrzałem na widniejące w oddali mury Rabatu. Nie mogłem się jednak powstrzymać, aby wysiadając z samochodu, nie uczynić małej wymówki memu towarzyszowi, iż zbytnią brawurą okazuje przy kierownicy, na co tenże nieco zdziwiony memi zarzutami, zapewnił mnie, iż jest to przeciętna szybkość osiągana przez tutejszych kierowców. Przyznaję, że doskonała szosa wywyższona na zakrętach jak na torach wyścigowych poprostu zachęcała do rozwinięcia coraz to większej szybkości. Rabat położony nad morzem jest siedzibą sułtana i rezydenta francuskiego. Mieszkanie sułtana mieści się w wspaniałym pałacu położonym w pięknych ogrodach, którego strzeże straż przyboczna składająca się z dryblasów murzyńskich, pochodzących aż gdzieś z Senegalu, przybranych w efektowne mundury. Sułtan, znajdujący się pod wysokim protektoratem Francji posiada tylko władzę nominalną. Ma on także swych reprezentantów w Fezie, Marakeszu i Tafilecie oraz wielkiego wezyra i ministrów, lecz krajem rządzi zasadniczo rezydent francuski. Do r. 1912 stanowiło Marokko pod względem politycznym sułtanat despotyczny. Wprawdzie tylko niektóre części kraju uznawały autorytet sułtana i nazwane były Blad el Machzen, gdyż reszta kraju t. zw. Bled Siba pozostawała w anarchji. Gdy 30 marca 1912 r. na mocy traktatu francusko-marokańskiego ustawiono protektorat francuski w Marokko, obszary Bled Siba zaczęły się zmniejszać stale dzięki umiejętnej i energicznej pacyfikacji kraju prowadzonej przez rząd francuski. Duże usługi oddał Francji marszałek Lyantey, który od chwili zajęcia Marokka przez wojska francuskie sprawował nad niemi dowództwo. W Rabacie znajduje się dość dużo zabytków historycznych. Jest tam między innymi zniszczona wieża obronna pochodząca podobno z 13 w., zbudowana przez Hassana. Następnie nad morzem wznosi się stara forteca piracka kiedyś od sułtana niezależna, tylko opłacająca mu haracz. Dzisiaj jest tam śliczny ogródek, w którym znajdują się kawiarenki arabskie. Jedynem przypomnieniem dawnych czasów, są stare armaty umieszczone wśród skał, które wylotami swemi zdają się grozić miastu, a wywołują tylko uśmiech pobłażania u przechodnia! Przy nadal panującej słonecznej pogodzie wyjeżdżam w gronie rodaków do Marakeszu, miejscowości położonej w głębi kraju. Już podróż sama dostarczała nam dużo wrażeń, gdyż jechaliśmy 60 klm. przez pustynię. Marakesz leży w ślicznej oazie, z której widać w oddali szczyty Atlasu, pokryte przez cały rok śniegiem. Zajechaliśmy do miasta w dzień jarmarczny, zgiełk i ruch tam panujący trudno opisać. Arabowie otoczyli nas odrazu zwartem kołem zachwalając jeden przez drugiego swe towary, tak, że musieliśmy uciec się do interwencji policjanta, by się wydostać z rąk natrętnych sprzedawców. Kolej prowadząca z Casablanci do Marakeszu jest elektryczna, co świadczy na jak wysokim poziomie stoją prace inwestycyjne dokonywane przez Francuzów w Marokko. Francja nie szczędzi ni pracy ni finansów by ucywilizować swą kolonję, która staje się dla niej z każdym rokiem bogatszem źródłem dochodów.

Marjan Hahn.



Arabscy handlarze daktyli. Przynieśli oni daktyle w skórzanych workach. C. Delius.

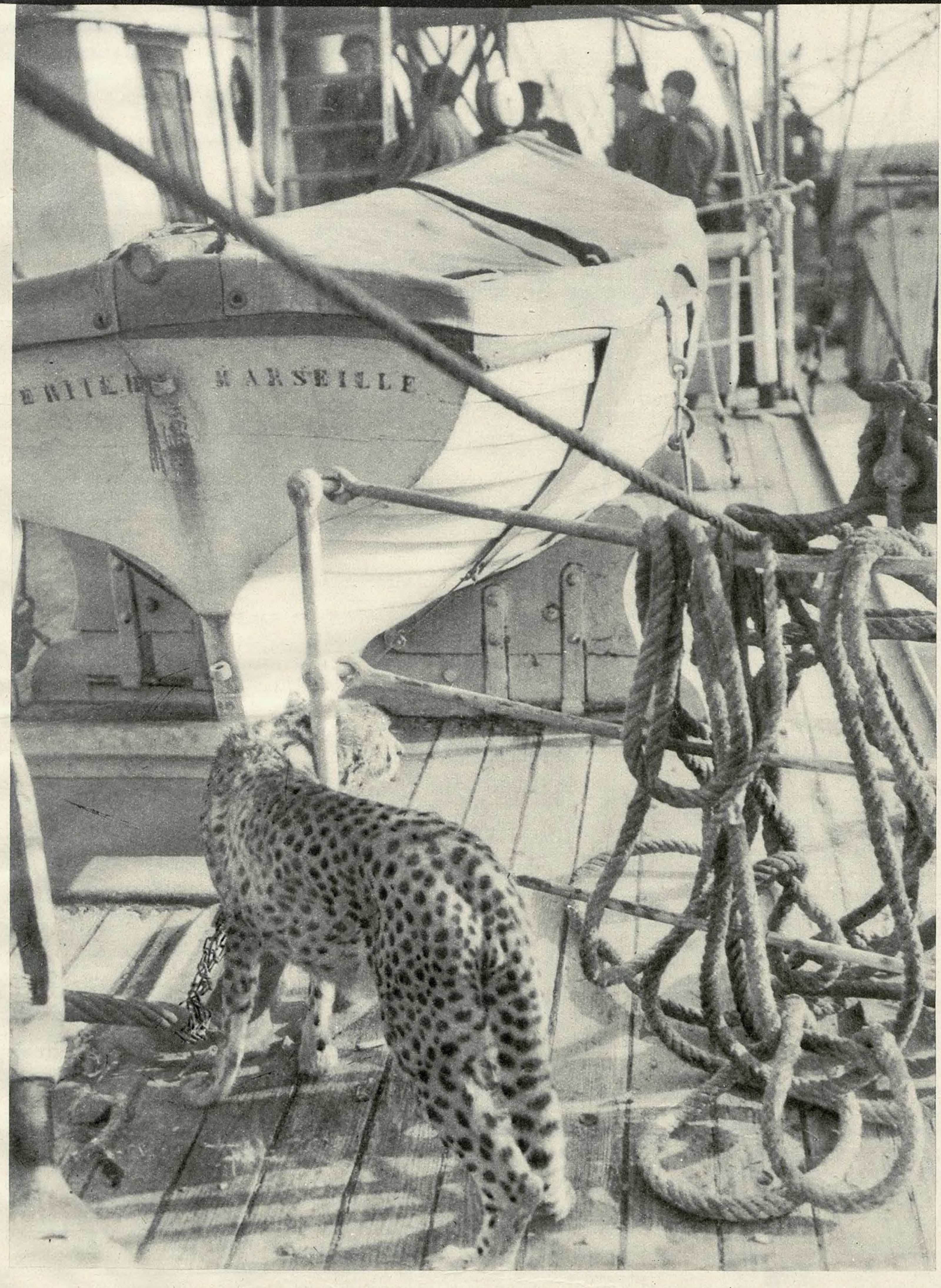


W lasku palmowym w Tunisie.



Kobiety arabskie z okolic Atlasu.

DŻU-DŻU.



Lampart Dżu-Dżu na pokładzie okrętu, zdążającego z Afryki do Marsylji. C. Delius, Nice.

Nazwano go Dżu-Dżu. Może dlatego, że w chwili, kiedy zbliżyli się do niego ludzie, aby wydobyć go z głębokiego dołu, do którego wpadł niebacznie, skradając się do antylopy, warczał na nich groźnie a z gorącej jego gardzieli dobywał się ryk: dżu, dżu...

Ludzie jednak niewiele robili sobie z jego groźnej postawy. Skrępowali go szybko linami, owinęli w mocną sieć i ponieśli na długim drągu do wsi murzyńskiej. Miotał się Dżu-Dżu, jak szalony, ale to nic nie pomogło. Wreszcie głodny i spragniony wyczerpał swe siły i poddał się z rezygnacją losowi. Teraz z kolei, zamknięto go w żelaznej i ciasnej klatce. Dżu-Dżu leżał w niej godzinami bez ruchu a tylko nocą, kiedy zrobiło się już ciemno, zrywał się i próbował stalowemi mięśniami rozerwać duszne więzienie.

Ale próżne były jego wysiłki. Grube pręty drwiły sobie z jego kłów. Więc nad rankiem wyczerpany i pokrwawiony, zapadł w półsen. Nie ruszał się nawet, kiedy rzucano mu ochłap mięsa. Wreszcie po kilku tygodniach włożono klatkę do paki i załadowano na okręt. Teraz Dżu-Dżu czuł dziwne kołysanie. Dookoła niego panował przygnębiający mrok, czujne jego uszy straszył przeraźliwy warkot dudniących maszyn.

To też ucieszył się Dżu-Dżu bardzo, kiedy pewnego ranka wyniesiono go na pokład. Teraz zadowolony spoglądał na bezmiar oceanu i oddychał świeżem morskiem powietrzem.

Codziennie rano zjawiał się u jego klatki człowiek i wołał na niego czule: Dżu-Dżu, jak się masz?

Powoli Dżu-Dżu przyzwyczaił się do swojego pana i pozwolił mu się nawet głaskać i brać na obrożę.

Jeszcze kilka dni a Dżu-Dżu znajdzie się w Marsylji a potem w stacji aklimatyzacyjnej dla dzikich zwierząt, skąd zawędruje do jakiegoś ogrodu zooologicznego. Sprawować się będzie grzecznie, ale zawsze w głębi jego serca drzemać będzie tęsknota za słońcem Afryki i za tą wilgotną dżunglą, gdzie mógł się kąpać we krwi i mocnemi [illegible]zurami rozdzierać rzucającą się w przedś[illegible]tnych spazmach ofiarę.

Humor Światowida

PECH.



— *Na pomoc!!! W przedziale obok moja teściowa chce wyskoczyć przez okno!*
— *Jakżeż ja panu mam pomóc?*
— *Nie mogę otworzyć okna!...*

W STUDIO.



— *Hallo! Hallo! Za chwilę pan dr. Gorączka wygłosi odczyt pt. „Jak uchronić się przed grypą"...*

MĄDRY LEKARZ.



— *Mężowi pani potrzebny jest bezwzględny spokój; zaraz zapiszę środek uspakajający...*
— *Ile razy dziennie ma go mąż zażywać?*
— *Ależ nie mąż, tylko pani!!*

„KOMPLEMENT".



— *Jechał pan z szybkością conajmniej 80 km na godzinę!!*
— *Pan mi doprawdy pochlebia...*

RADA.



— *Młody człowieku, jeżeli chcesz mieć powodzenie, pozwól, żebym ci dał dobrą radę...*
— *Ależ bardzo proszę.*
— *Nie słuchaj nigdy żadnych rad*

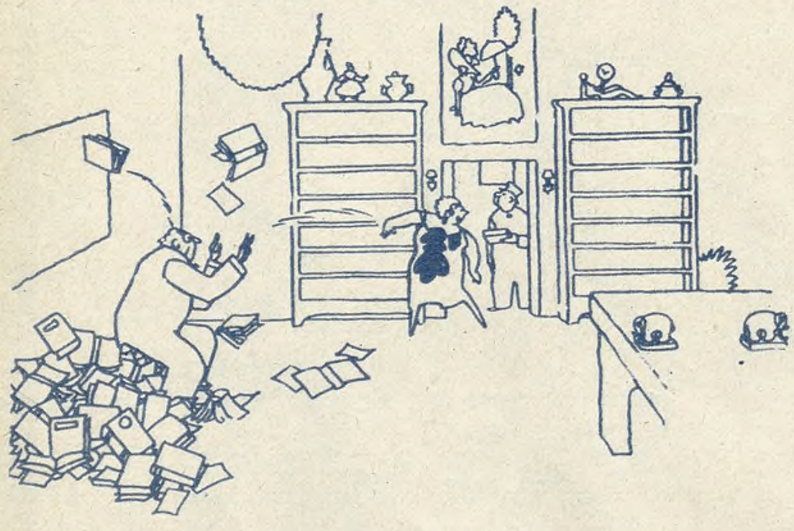
NIEBEZPIECZEŃSTWA NAUKI.

— Postępy nowoczesnej wiedzy kosztowały mnie trzy najpiękniejsze lata mego życia.
— Jakto?!
— Rozpoznano odciski moich palców.

LOGIKA SZKOLNA.

Nauczyciel: Następcy Mahometa nazywają się Kalifami. Powiedz mi Kozłowski, jak się nazywa ich kraj?
Uczeń: Kalifornja, panie profesorze.

W ODPOWIEDNIEJ CHWILI.



POSŁANIEC WYPOŻYCZALNI KSIĄŻEK: Oto zamówiona przez a nią książka...

OFIARA UCZUCIA.



— *Henryku; słyszałam, że codziennie wracasz do domu nad ranem.*
— *Tak Zosieńko, miłość do ciebie nie daje mi spać w nocy..*
— *A co potem robisz w dzień?*
— *Szukam zapomnienia we śnie...!*

ZAJMUJĄCA SZTUKA.

— Dobrze, ale zakończenie w tej sztuce musi pan koniecznie zmienić. Bohater nie może się truć, ale zastrzelić się.
— Czemu panie dyrektorze!
— Ażeby wystrzał z rewolweru zbudził śpiącą publiczność.

TANI PODARUNEK.

— Pamiętasz mężulku, że obiecałeś mi na gwiazdkę prezent.
— Tak, pamiętam i dotrzymam.
— A to wiesz, śniła mi się kolja brylantowa.
— Doskonale! Kupię ci sennik egipski, żebyś wiedziała, co taki sen znaczy.

REGUŁA NIE DO ZASTOSOWANIA.

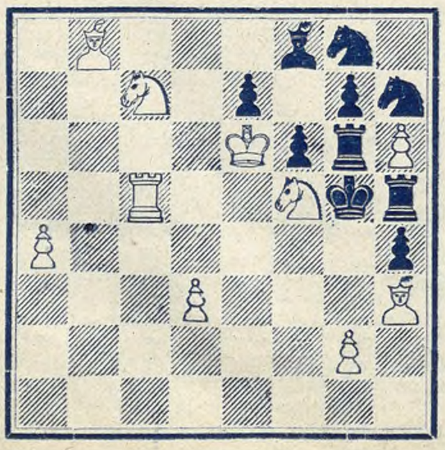
— Pisz, jak mówisz!
— Nie wiem, czy do tej reguły może stosować się mój brat, bo on jest jąkałą.

DZIAŁ SZACHOWY

pod redakcją Mieczysława Gałuszki.

F. Fränkel (I nagr. w konkursie „Die Schwalbe" za I półr. 1931 r.).

Czarne: Kg5, Wg6 h5, Gf8, Sg8 h7, piony: e7, f6, g7, h4 (10).



Białe: Ke6, Wc5, Gb8 h3, Sc7 f5, piony: a4, d3, g2, h6 (10).

3-chodówka. 10+10=20.

Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązanie 3-chodówki F. Fränkla: 1. W—b5! **I.** 1... Wh×h6 2. S—e8 i 3×; **II.** 1... Wg×h6 2. K—f7 i 3×; **III.** 1... S×h6 2. K—d5 i 3×; **IV.** 1... K—f4 2. S—d5+ i 3×; **V.** 1... g×h6 2. W—b4 i 3×.

PARTJA.

Białe: **Gromer.** Czarne: **Betbeder.**
grana w turnieju o mistrz. Paryża z końcem u. r.

Obrona sycylijska.

1. e4 c5	11. a4 **(1)** a6 **(2)**
2. S—c3 S—c6	12. a5! Se—c6
3. g3 g6	13. f5 **(3)** g×f5
4. G—g2 G—g7	14. e×f5 S×f5
5. Sg—e2 e6	15. S—f4 Sc—d4
6. 0—0 Sg—e7	16. S—e4 G—c6? **(4)**
7. h3 d6	17. c3 S—b5
8. d3 S—d4	18. S—h5 h6 **(5)**
9. K—h2 G—d7	19. W×f5 **Czarne poddały się. (6).**
10. f4 W—b8	

UWAGI:

(1) Ciekawe posunięcie. Białe chcą przeciwnikowi odebrać kontrszanse na skrzydle hetmana.
(2) Przez to posunięcie powstaje słaby punkt b6 i pion b jest przyzostałym.
(3) Białe zahamowały atak przeciwnika na skrzydle hetmana, aby mieć swobodę w ataku na skrzydle króla.
(4) Błąd rozstrzygający. Należało grać 16... G—e5.
(5) Aby nie dopuścić do G—g5, nie broni jednakże drugiej groźby.
(6) Ponieważ po 19... e×f5 nastąpi 20. S×g7+.

Rozwiązanie z Nr. 9.

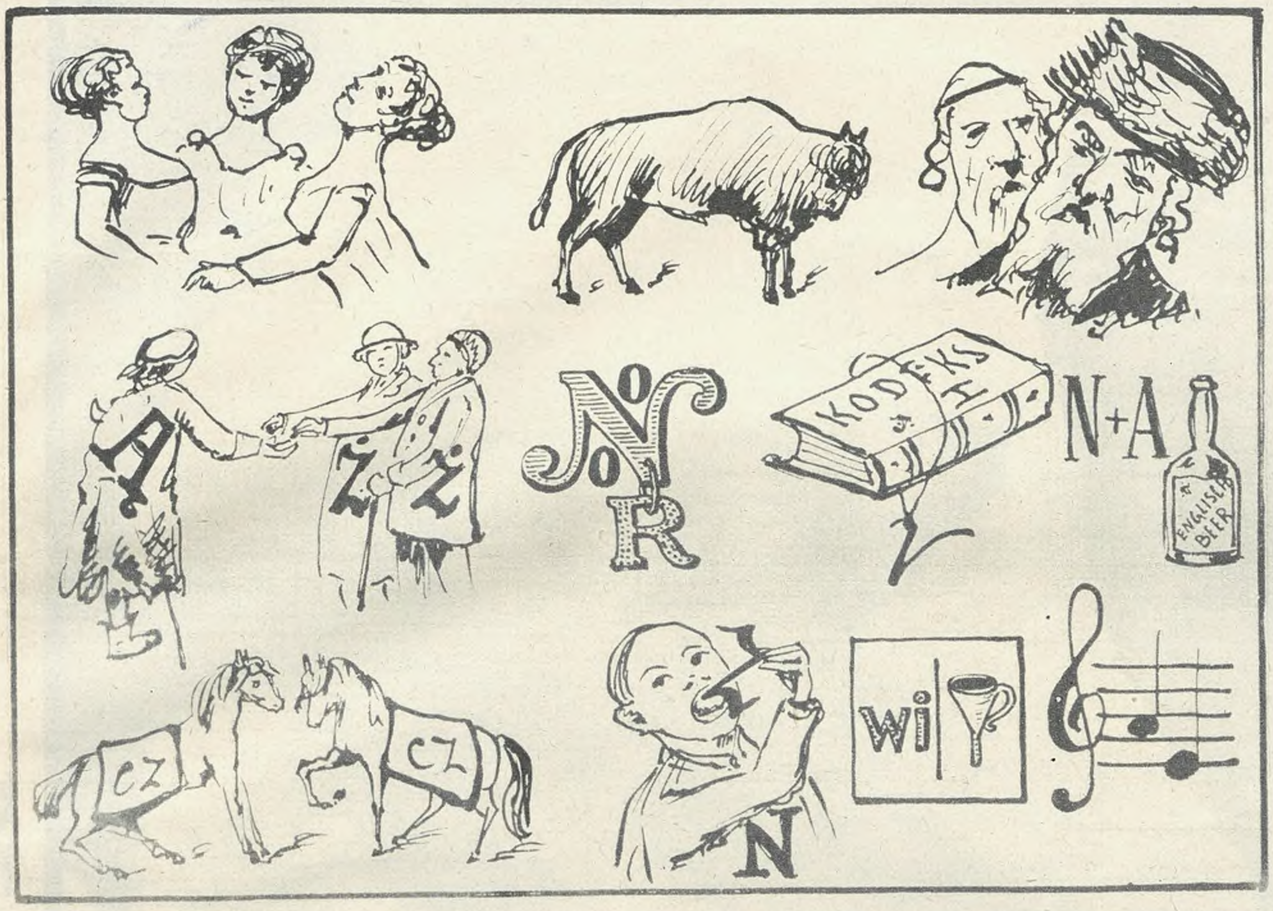
Weselmy się tymczasem, bo Popielec za pasem.

Trafne rozwiązanie zagadek z Nr. 9 nadesłali:

W. Nowakowski, Ostróg; L. Bronner, Kraków; H. Jarecka, Kalisz; I. Bełdykierówna, Radziki Duże; „Juwal", Szamotuły; St. Biesiada, Ozorków; T. Szmidtówna, Dąbrowa Górnicza; Wł. Jasiński, Zakopane; L. Siuda, Poznań; „Manfred".

REBUS.

p. Z. Tietza.



BERLIN W OGNIU.
(Szarada).

(ułoż. L. Ciesielski, czł. Warsz. Kl. Szar.).

Trzy Niemczech, jak w kotle wre partyjny **pierwszy**...
W czwór-pięć-jedenastym, tudzież w mniejszych miastach
Krew obficie płynie, i w prasie wśród wierszy
Czytamy, że tłucze się tam wszelka kasta.
Partyjna **raz-druga** nic nas **sześć** obchodzi, —
Niechaj się tam „bawią“ w wojnę, w ślepą babkę,
Czy w **Cztery-drugiego**, — nic nam to **siedm** szkodzi,
Że się tam nożami poturbują kapkę.
„Dzielni“ hitlerowcy komunistów piorą...
(Natura ich krewka, śmiała, **ósma-druga**),
Dowódcy komuny wały od nich biorą,
To też się poleje nieraz z głów krwi struga.
Jest w **Czwartym-pięć-siódmym** też partja, co pragnie
By się **ośm** i **dziewięć** wskrzesiła monarchja,
Która chętnie głowy przed kronprincem nagnie...
Lecz sądzę, że prędzej będzie tam... anarchja.
Mąż stanu swą mową niepokój wytwarza
I niesprawiedliwość traktatu wytyka!
Wciąż językiem miele w sprawie kurytarza,
A z nim jak papugi, cała jego klika.
Tak oto **dziesiąci-piąci**, drodzy moi
Woła kanclerz Rzeszy na duszy zatratę:
— **„Dziewięć-sześć-cz-ostatnie** musimy się zbroić,
Aby wydrzeć Polsce morze tak bogate!“ —
Nie **dziesiąte-siódme** groźba rychłej wojny,
Jeśli niemcy zechcą szukać jej w traktacie, —
Jak Wezuwjusz będzie świat wciąż niespokojny,
Gdy kanclerz tkwić będzie w hitlerowskiej szacie...

Za rozwiązanie powyższych dwu zadań, redakcja „Światowida“ przeznacza

Trzy nagrody.

Pierwsza zł. 30, druga zł. 20, trzecia zł. 10.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 25 marca 1933 wraz z załączonym kuponem.

Warszawa; A. Bittnerowa, Jaworzno; D. Herbstmanówna, Warszawa; T. Wołek, Katowice; J. Lisowa, Kraków; B. Kostrzyca, Kraków; M. Zapiór, Kraków; I. Frezerowa, Ossówiec; J. Gdowski, Kraków; Oddział Zw. Strzeleckiego, Różana; M. Pułkowa, Żywiec; W. Stribrny, Katowice; Zdz. Poincówna, Goszynin; A. Zajączkowski, Zakopane; A. Loeglerówna, Lwów; J. Orzeszko, Warszawa; J. Kowal, Stołpce; J. Maraviglja Crivelli, Lwów; Gelant M., Lwów; St. Polak, Andrychów; M. Steculanka, Kalisz; St. Matuszkiewicz, Sułkowice; St. Mitti, Radom; inż. A. Szuksta, Warszawa; ppor. Zb. Jaworski, Stanisławów; Z. Neumannówna, Glinice; J. Kowalczykówna, Łódź; L. Kobylecki, Warszawa; W. Rogalska, Kraków; „Wilnianin“, Dubno; kpt. L. Hauschild, Nowy Targ; St. Effert, Poznań; Nowacka, Poznań; „Helenka“, Prokocim; St. Jabłoński, Prokocim; E. Prockówna, Rybnik; „Eke“, Warszawa; J. Szarfenberg, Warszawa; Fr. Wiśniewski, Warszawa; I. Wajsfeld, Pińczów; „Joteł“, Warszawa; M. Rundowa, Bielsko; J. Augarten, Otwock; Z. Baczyńska, Kałusz; Wł. Milianowicz, Jarosław; M. Pacześniowski, Katowice; M. Jagusiński, Kraków; Zdz. Fischbach, Września; H. Benkówna, Cieszyn; J. Przybylik, Michałowice; J. Lubowiecki, Kraków; J. S., Dąbrowa Górnicza; E. Sienkowski, Kraków; J. Szkolnikowski, Warszawa; **Janina Ruczyńska, Środa (zł. 30.—)**; J. Czołba, Poznań; W. Pędzimąż, Zakopane; „Wiślanka“; J. Janystówna, Łódź; St. Beśka, Stołpce; Fr. Kwiatosz, Stołpce; L. Trepińska, Katowice; H. Andruszewiczowa, Warszawa; Kaz. Ołpiński, Warszawa; St. Wydrzyński, Warszawa; T. Dzierżanowski, Warszawa; „Abiturjent“, Lwów; Wł. Bułka, Brodnica; A. Świtkowska, Lwów; B. Giersz, Luboń; H. Chromcewiczowa, Lublin; St. Bąkowski, Kraków; H. Cieślikówna, Kraków; J. Chyrczakowska, Toruń; B. Ramułtowa; Jeżów; inż. J. Modrzejewski, Lublin; Z. Tietz, Warszawa; por. St. Goliński, Toruń; A. Grzybowska, Poznań; P. Paul, Szamotuły; L. Silberstein, Kraków; Wł. Czapski, Niekłań; Fr. Gawryś, Kraków; J. Sidor, Kraków; St. K., Toruń; Z. Żukowa, Jędrzejów; J. Stefańczyk, Pabjanice; Ir. Popiołkówna, Pabjanice; Kaz. Mirowski, Katowice; C. Głowiński, Warszawa; K. Łabużek, Kraków; J. Czerwiński, Kowel; Z. Hermanowiczowa, Lublin; L. Wróblewska, Inowrocław; H. Czaplina, Poznań; B. Gawin, Kraków; Fr. Mładki, Warszawa; J. Maziarz, Ozorków; J. Krasucka, Skarżysko-Kamienne; A. Ojdana z Węgrowa; A. Blaschkowa, Złoczów; T. Burman, Kraków; St. Lizak, Kraków; B. Majka, Kraków; R. Peisker, Warszawa; Ir. Cuevasówna, Łęczyca; J. Antoniewiczowa, Równe; H. Chmielewska, Starogard; J. Janczewski, Wilno; St. Polaczek, Kraków; Miecz. Lis, Kraków; por. Br. Bubnicki, Kraków; Cz. Kozłowski, Warszawa; Aleks. Biernacki, Kazimierza Wielka; Z. Ptaszyńska, Oświęcim; W. Tyblewski, Poznań; L. Boroński, Kraków; ks. L. Klementowski, Tarnopol; M. Mazan, Kraków; A. Bilska, Katowice; J. Kudelska, Warszawa; Wład. Gajowa, Poznań; M. Traciłowski, Kowal; Jawnuta, Słonim; G. Kozłowska, Jaworzno; Sł. Haydukówna, Poznań; Sylwester Klupsz, Czempień; P. Wieczorek, Kochanowice; Kasyno urzędnicze Zakładu sierót, Fundacji St. hr. Skarbka, Drohobycz; M. Niekraszówna, Wilno; A. Majerowicz, Rzeszów; J. Drewnicka, Lwów; Harcerze Szkoły Handlowej, Rybnik; Franc. Skowyra, Szarlej; **Władysław Kasprzycki, Włodzimierz Wołyński (zł. 20.—)**; A. Bochniak, Tarnobrzeg; Tamara Gorłow, Łódź; M. Taras, Stryj; J. Englert, Lwów; St. Dackiewiczowa, Warszawa; St. Ruebenbauerowa, Lwów; W. Siuta, Kołomyja; Bezrobotny Świetliczanin; Ign. Wołkowicki, Strzyżów; St. Jajkiewicz, Łódź; K. Puchowicz, Warszawa; Wł. Pochmarski, Lwów; J. Ruta, Wieluń; J. Bielesz, Kraków; J. Krupa, Kraków; J. Zapiór, Kraków; D. Surmiński, Kraków; Ir. Glinczyna, Białobrzegi; K. Bielińska, Siercza; J. Szymańska, Dębieńsko Stare; M. Strubel, Warszawa; Kaz. Lilpop, Warszawa, N. Kaz. Kozłowski, Warszawa; H. Łakotówna, Zawiercie; L. Flancówna, Warszawa; M. Florczykówna, Kraków; A. Rybczyński, Skierniewice; Janusz Roman, Warszawa; St. Pretkielowa, Warszawa; J. Bergelówna, Myślenice; O. Rzoncowa, Mościce; Z. Eljaszewicz, Królewszczyzna; J. Doroszkiewicz, Królewszczyzna; G. Hajkowicz, Wilno; J. Klimaszewska, Stary Sącz; Wł. Terlecki, Lwów; plut. M. Szymko, Podbrodzie; L. Nieczuja-Ihnatowicz, Gdynia; L. Korga, Lublin; Kaz. Hanus, Nadwórna; E. Rozenberżanka, Brzeziny; J. Nowakowa, Kraków; Sz. Rybczyk, Rzeszów; Wł. Kot, Wadowice; Czytelnia TSL., Węgierska Górka; A. Gajewski, Cieszanów; W. Fabrowski, Ostrzeszów; D. Apfelsüss; „Niunia“, Rzeszów; Kaz. Chendyński, Nowa Wieś; W. Ceborski, Tarnopol; J. Natkaniec, Kraków; H. Wymiatałkówna, Wieliczka; M. Renanówna, Złoczów; A. Papee, Katowice; M. Altenberger, Łódź; **Jan Maryniak, Kiszewy (zł. 10.—)**; W. Ciepiela, Czyżyny; St. Wawrzkowicz, Kraków; M. Mokrski, Łódź; „Zosia“, Stryj; Tad. Mazurek, Wilcza Dolna; Tad. Cieszewski, Wilno; K. S. „Tempo“, Tarnów; Mich. Schmidt, Lwów; St. Zając, Kielce; L. Lenartowski, Poznań; Z. Pieracki, Wilno; Emerytka, Wilno; M. Szewiakowa, Wilno; Wł. Bieńkiewicz, Warszawa; K. Stankiewicz, Sosnowiec; T. Zacherowa, Jaworzno; J. Kotczak, Troyes; T. Kempiński, Bielsko; Cz. Łapiński, Olkusz; H. Mosurski, Kraków; St. Chudziński, Wronki; M. Kosówna, Poznań; Kr. Rudlicka, Słonim; M. Meteiska, Katowice; Irka z Żychlina; J. Wadowski, Kowel; H. Gintrowski, Kraków; Kaz. Bem, Częstochowa; Eug. Zwierzchowski, Warszawa; W. Zwierzchowski, Warszawa; M. Eckertóna, Warszawa; M. Lipińska, Białystok; Br. Bereza, Węgrów; A. Onyszkiewicz, Lwów; W. Przyborowski, Radom; J. Nauman, Warszawa; Z. Zapałówna, Turzysk; R. Dergiman, Wilno; Nusia Smoniewska, Sosnowiec; Kaz. Brok, Dąbrowa Górnicza; T. Hamplówna, Katowice; M. Szymańska, Sosnowiec; W. Żdżarski, Wilno; J. Pawłowicz, Radymno; E. Brzozowska, Warszawa; M. Abramsohn, Łódź; A. Gwóźdź, Sandomierz; J. Świerczyńska, Lwów; „Bezrobotna z Rzeszowa“; J. Obtułowicz, Węgierska Górka; A. Klohes, Kraków; M. Sipowiczówna, Łuniniec; St. Rosiekówna, Kraków; B. Rokosz, Radom; St. Staniszewska, Borysław; J. Wójcik, Kielce; Z. Łabińska, Warszawa; J. Maćkowiak, Krzywiń; Z. Zalewski, Gniezno; P. Kurek, Homecourt; Z. Długoszówna, Toruń; dr. H. Opielińska, Środa; B. Staszewska, Radogoszcz.

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Janinę Ruczyńską, Środa (zł. 30.—), Władysława Kasprzyckiego, Włodzimierz Wołyński (zł. 20.—) i Jana Maryniaka, Kiszewy (zł. 10.—).

Redakcja „Światowida“ wyżej wymienionym prześle nagrody niebawem.

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9. Tel. 551-90 i 551-91.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 401.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus“) — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus“), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

BESKIDY W MARCU.



Obraz Juljana Fałata. Własność Salonu Wojciechowskiego w Krakowie.